

Są to obszerne fragmenty mojej książki "Zwierzenia Zausznika" wydanej w roku 1992 przez Oficynę Wydawniczą BGW. Książka pomyślaną była początkowo jako wywiad - rzeka, ale w trakcie pracy zrezygnowałem z tej formuły i napisałem książkę sam, utrzymując stylizację na wywiad. Książka moja jest jedyną publikacją o charakterze świadectwa opisującą wydarzenia tworzone i widziane z pozycji Premiera Mazowieckiego i najbliższego kręgu jego współpracowników oraz napisaną bezpośrednio po zakończeniu misji pierwszego rządu Trzeciej Rzeczypospolitej, a więc nie zdeformowaną przez upływ czasu i zawodność pamięci. Publikuję fragmenty, które mam w postaci elektronicznej, ale postaram się, żeby znalazła się tutaj cała książka, niedostępna już dziś na rynku, w szczególności rozdział "Wojna na Górze".

"Zwierzenia zausznika"

WALDEMAR KUCZYŃSKI

Siedem lat nad Sekwaną

Czy pamięta Pan datę wyjazdu z Polski?

Tak. To było 30 sierpnia 1982 roku. Wyjeżdżaliśmy w pośpiechu, trzydziestego pierwszego chcieliśmy być już po tamtej stronie. Trzydziestego pierwszego, w rocznicę podpisania porozumień gdańskich, mogły się zdarzyć różne rzeczy. Do „czerwonego” nie można było mieć zaufania. Nie było wiadomo, co mu odbije, gdy na ulicach pojawią się demonstranci. Mieliśmy już turystyczne paszporty i wszystkie wahania za sobą. Kiedy pociąg ruszył z Centralnego, krzyknąłem do odprowadzającej mnie żony i dzieci: „Nie dajcie się bolszewii!”. Po co krzyknąłem? Może po to, by nie myśleć, że chyłkiem opuszczam miasto, w którym za chwilę będą pałowali.

Dokąd jechaliście?

Najpierw do Berlina Zachodniego. Dorota leczona była według wskazań tamtejszej kliniki. Wtedy takie leczenie było najskuteczniejsze. Chcieliśmy, by ją zbadano i oceniono warszawskie leczenie. Kiedy pociąg ruszył, miałem poczucie, że wyjeżdżam na zawsze i to nie dlatego, że nie będę mógł wrócić, lecz że nie będę chciał, że nie będę miał wystarczająco dużo woli, by znaleźć się z powrotem wewnątrz socjalistycznego obozu.

Na dworcu w Berlinie Wschodnim sceny jak za okupacji. Wygięte czapki, spodnie Galliffeta, rozstawione nogi, wilczury na smyczy. Potem przejazd nad murem jak wyjście z więzienia, rzeka i nagle ulice z lawiną kolorowych samochodów, napisów, reklam, barwnych parasoli słonecznych na balkonach. Byliśmy wolni. Na dworcu w Berlinie czekał na nas Peter Raina, Hindus, którego poznałem jeszcze podczas studiów, bardzo związał się z polską problematyką, wydając książki o polskim Kościele i jego postaciach.

Po emocjach wyjazdu najpierw z Warszawy, potem w ogóle z „sowieckiej zony” oczekiwałem jakiegoś odprężenia, a tu nagle prawie po pierwszej wymianie zdań zorientowałem się, że dla Rainy jesteśmy nie lada jakim kłopotem. On tego nie powiedział, ale to się czuło, jak również to, że dla dobra stanu jego finansów nie będzie źle, jeśli skrócimy nasz pobyt u niego do minimum. Mieliśmy zaledwie 500 dolarów, czyli prawie nic. Zamiast odprężenia poczułem straszliwą kruchość gruntu, na którym stanąłem z tym moim dzieckiem, którego odrastająca, półcentymetrowa dopiero czupryna wskazywała jak niedawno uniknęło najgorszego. Najchętniej wsiadłbym do pociągu i uciekł do Warszawy, a siedziałem w

furgonetce, która, jak wynikało z rozmowy, była skromniutką objazdową biblioteką polską, uzupełniającą trochę budżet kolegi Petera. Ze zdenerwowania poprosiłem o papierosa (od kilku miesięcy nie paliłem). Z pobytu w Berlinie zapamiętałem tylko wizytę w klinice, gdzie dobrze oceniono leczenie Doroty, i gorączkowe próby wbicia pazurów w jakiś twardszy grunt.

Miał Pan chyba jakieś inne adresy?

Tak. Miałem adres Leona Szulczyńskiego – dziennikarza, emigranta po 1968 r., który wtedy pracował w „Der Spiegel” i mieszkał pod Hamburgiem. Zadzwoiłem. Europa polskiej emigracji to ogromny obszar, na którym z rzadka rozrzućeni są rodacy, za to każdy głośniejszy polski szept rozbrzmiewa tu echem. Kiedy przyjechałem, zainteresowanie przyjezdnymi i wieściami z kraju było ogromne. Leon zadzwonił do Gienka Smolara, ważnej figury w polskiej sekcji BBC, a on do swojego brata Aleksandra, który z żoną Ireną mieszkał w Paryżu, gdzie redagował „Aneks”. Dzięki temu po paru godzinach pobytu u Petera wiedziałem, że Gienek kupi ode mnie prawa autorskie do wspomnień z obozu internowania i wyśle natychmiast niewielkie honorarium. Za chwilę odezwał się Paryż. Dzwonił Alik, pytając o Dorotę, o nasze plany. Wyczuwając w moim głosie napięcie i stres, uspokajał mnie. To był pierwszy balsam. Alik obiecał załatwić francuską wizę i jakieś stypendium z resztek dawnego Funduszu Wolności Kultury. Ważną rolę w zarządzaniu tym funduszem odgrywał Kot-Jeleński, wtedy jeszcze żyjący, a zarządzała nim jego znajoma Anette Laborey.

W dwa dni później zadzwonił ponownie Szulczyński, proponując nam przyłot do Hamburga na koszt „Spiegla”. Chciał przeprowadzić dla tygodnika długi

wywiad. W tym czasie byłem jednym z bardzo nielicznych wyższych funkcjonariuszy „Solidarności”, którzy znaleźli się za granicą, więc dla „Spiegla” lubiącego „newsy” wywiad ze mną był pewnym interesem. Dzięki niemu przebrnęliśmy z Dorotą Boeingiem nad NRD-owem, unikając kolejnego widoku mundurów a la Wehrmacht. Leon mieszkał w Pinnebergu, takim mieście-sypialni pod Hamburgiem dla dolnych szczebli klasy średniej, tak bym to oceniał. Po drodze z lotniska przystanęliśmy, aby zrobić zakupy, a kiedy ruszyliśmy, odruchowo, z nawyku człowieka od lat często śledzonego, spojrzałem do tyłu i powiedziałem Leonowi: „Słuchaj, chyba za nami jadą”. Szulczyński popatrzył w lusterko i powiedział po sekundzie: „Muszę cię zmartwić, to tutejszy rzeźnik”. Ten mój peerelowski nawyk uratował jeszcze w jakieś dwa lata później turystę zachodnioniemieckiego na stacji metra Madeleine, którego w ostatniej chwili ostrzegłem przed okradzeniem przez zlokalizowaną przeze mnie ekipę kieszonkowców.

A jak było z wywiadem?

Przepytywało mnie przez kilka godzin trzech dziennikarzy, a potem jeden z nich wyszedł i wrócił za chwilę z papierem i sporą harmonijką stumarkówek. Pokwitowałem honorarium w wysokości 5 tys. marek, około 2500 dolarów. Nie wiem, czy to prawda, ale powiedzieli, że dostałem tyle co Kissinger. W tydzień po wyjeździe nasz grunt stał się twardszy. Byliśmy w zasięgu przyjaciół, a nasz „kapitał zakładowy” powiększył się pięciokrotnie. Przyczółek był zdobyty.

Po udzieleniu wywiadu właściwie nie mieliście nic do roboty w Pinnebergu?

Tak, spędziłem tam tydzień i wkrótce stało się to bardzo uciążliwe z braku jakiegokolwiek zajęcia. Miasteczko było ładne. W przyzwoitych, zamożnych domach wieczorem odsłonięte były duże okna, widać było ognie na kominkach, gospodarzy w fotelach, czytających czasopisma lub oglądających telewizję. Wnętrza gustowne, ale jak kopie kilku modeli ze specjalistycznego żurnala. Ogródki wystrzyżone, żadna trawka nie śmiała wystawać poza płot, chodniki wyszorowane detergentami. Tylko u Szulczyńskich, choć też było przyzwoicie, to jednak widać było ślady trawnikowej anarchii, większej wolności dla roślin. W tym dostatnim, burżuazyjnym miasteczku jednej z wzorcowych demokracji powojennych czuło się rodzaj obyczajowego totalitaryzmu. Nie było żadnego Wielkiego Brata, ale była NORMA, której trochę tylko grał na nosie ten w końcu auslander Szulczyński.

Czyli etap niemiecki miał się ku końcowi?

Nie, czekałem jeszcze na stypendium, które miało być wypłacone w Niemczech, choć przyznano je w Paryżu. Pewnego dnia jednak odezwała się „Wolna Europa”. Zdzisław Najder, który dopiero co został szefem polskiej rozgłośni, zapraszał mnie do Monachium. Andrzej i jego dziewczyna utrzymywali się wtedy z zasiłków socjalnych i jakichś dorywczych prac, mieli więc dużo czasu i postanowili odwiedzić znajomych w Monachium. Wsiedliśmy do ich mocno zdezelowanego audi i ruszyliśmy ku Bawarii. Jechaliśmy przez piękny i jakże zasobny, świetnie zorganizowany kraj, znacznie lepiej widoczny z dróg drugiej kategorii niż z autostrad. Patrzyłem z okien samochodu i myślałem sobie: Któż tu przegrał wojnę? Jeżeli królową korony polskiej jest Matka Boska, to jakaż świętość

musi się tym krajem opiekować? Rano tuż przy budynku rozgłośni, w pięknym angielskim ogrodzie, spotkałem się z kimś z zespołu.

Nie wszedł Pan do środka?

Nie, uległem psychozie. Miałem problem z córką, resztę rodziny w kraju, sprawę jej przyjazdu do nas lub naszego powrotu do Polski. Nie chciałem bez istotnej potrzeby kłaść sobie na głowę jeszcze jednego psychicznego obciążenia, bo myślałbym o tym, czy nie dojdzie to do władz warszawskich i czy nie będą robili jakichś wstrętów Halinie. Ja byłem poza ich zasięgiem, ale dla niej najmniejszy szelest bezpieczeństwa w pobliżu byłby wstrząsem. Nie chciałem ryzykować, mimo że ryzyko nie było duże. Ze sporą grupą pracowników spotkałem się natomiast na kolacji w pobliskim hotelu Hilton, gdzie mnie zaproszono. Zrobiłem obszerny wykład o sytuacji w kraju, przedstawiając ją tak jak w poprzednich relacjach, mniej beznadziejnie, mniej apokaliptycznie i co wtedy było aktem pewnej odwagi wskazałem na pewne niuanse w dotąd jednolicie czarno przedstawianym obrazie ekipy stanu wojennego i motywów jej działania. Miałem wrażenie, że moja wystudzona relacja zderza się z wyobrażeniami części z nich i przyjmowana jest z wyraźną rezerwą.

Trudno im się dziwić. Od osoby, która niedawno opuściła obóz dla internowanych i przybyła z kraju, gdzie obowiązywały rygory stanu wojennego, oczekiwali pewno opowieści pełnych dramatyzmu. Co im Pan opowiedział? Jaki był Pana stosunek do stanu wojennego?

Nie pamiętam dokładnie, co im mówiłem. Ale pamiętam, jak głęboką nocą 13

grudnia w zimnej sali więzienia na Białołęce do przygotowanych już teczek spisywano nasze personalia. W pewnym momencie kolejna grupa internowanych przyniosła wiadomość, że posadzili Gierka, Grudnia i Jaroszewicza, a stan wojenny wprowadził Jaruzelski. Dla mnie w tę straszną noc był to pierwszy moment ulgi.

Zorientował się Pan, że stało się zło, ale mniejsze?

Pierwsze, co mi przyszło do głowy, to była optymistyczna myśl, że przy tym wariacie nie grozi nam rozwałka. Nie zamierzam usprawiedliwiać zła tylko dlatego, że było ono mniejsze, ale uznaję stopniowanie zła. Pod koniec 1981 roku sytuacja polityczna w Polsce była bez wyjścia. Nie znam przypadku, by dynamiczny ruch rewolucyjny, idący jak lawina, nagle zastygł i dogadał się z królem w sprawie podziału wpływów. To była sytuacja wojny, dwuwładzy, paraliżu, kraj się sypał gospodarczo. Taki stan nie mógł trwać. A ponieważ „Solidarność” nie mogła obalić komuny, komuna – nasza lub sowiecka – musiała obalić „Solidarność”. Mój pogląd na ten temat jest dokładnie taki, jak ocena rewolucji 1905 roku przez Dmowskiego. Jak długo potęga Wielkiego Brata była nienaruszona, tak długo – moim zdaniem – każdy zryw rewolucyjny niósł niebezpieczeństwo radzieckiej interwencji, czyli dramatu najwyższego rzędu. Dlatego uważałem, że naszą szansą są rewolucje nie dokończone, takie, które ulegają demontażowi, rozładowaniu, zanim ruszą do akcji dywizje Układu Warszawskiego. Niedokończone rewolucje były w roku 1956, 1970, 1976. Każda z nich jakoś uszkadzała komunizm, dzięki czemu stawał się on bardziej ludzki. A ponieważ rewolucja solidarnościowa też nie została zdławiona, rozmontowano ją tylko, więc nawet po 13 grudnia była szansa na ewolucję systemu. Nie uważałem,

że w momencie wprowadzenia stanu wojennego zawalił się świat, że wchodzimy w jakąś długą i czarną noc na wzór nocy stalinowskiej, a słyszało się takie opinie. Byłem pewien, że solidarnościowy zasiew nie zostanie wykarczowany i będzie przyczyną pożądanych przeobrażeń. Nie podzielałem też opinii, wedle, których stan wojenny miał szybko pęknąć wskutek oporu społecznego. Przecież opór społeczny był słaby, bo moim zdaniem duża część społeczeństwa instynktownie nie wierzyła wtedy, że da się obalić komunizm. Breżniewowskie imperium było u szczytu potęgi i właśnie zaczynało połykać Afganistan. Szesnaście miesięcy „Solidarności” to było święto wolności, ale także seria bliskich konfrontacji sytuacji, za którymi stał jakiś dramat, sytuacji, które stawiały społeczeństwo u progu zbiorowego zawału serca. Instynkt samozachowawczy, wystawiany wielokroć na próby domagał się pauzy. Nie wykluczone, więc, że sporo ludzi, niekomunistów, przyjęło 13 grudnia z ulgą.

Ale byli tacy, którzy mówili, że to nieważne czy Polak, czy Rosjanin.

Tak, to prawda. Spotkałem nawet takich, którzy mówili, że interwencja sowiecka byłaby bardziej klarowna moralnie. To było już w Paryżu, na jakimś wieczorze u Brandysów. Obecna na tym wieczorze nieznana mi, pachnąca paryską perfumierią damulka, w ten sposób właśnie się wymądrzała. Zareagowałem ostro, może nawet brutalnie, mówiąc jej, że za rozwiązaniami klarownymi moralnie, a mogącymi spłynąć krwią, można się opowiadać ostatecznie, pod warunkiem, że i własna krew jest wystawiona na ryzyko.

Jak długo byliście w Monachium?

Z dziesięć dni. To były dobre dni. Czupryna Dorocie odrastała, cotygodniowe

próby krwi były dobre. W Monachium świeciło słońce, jesień mieniła się swoimi kolorami, a na ogromnym placu odbywał się, poprzedzony barwnym korowodem, festyn piwa „Octoberfest”. Tłumy. Nieprawdopodobne wesołe miasteczko, jakiego Dorota nigdy w życiu nie widziała, a którego blady odpowiednik, bardzo blady, snuł mi się po obrzeżach pamięci gdzieś z czasów okupacji. Mieszkaliśmy obok, u Weintraubów, emigranckiej pary pomarcowej koczującej po Europie z dwójką dzieci, zależnie od tego, gdzie ojca skierowała wielka firma komputerowa, w której pracował. Wieczory spędzaliśmy przy telewizorze, popijając obficie whisky, w towarzystwie innych osób też wykorzenionych znad Wisły, zawsze w podróży, a przebywających chwilowo na postoju w Monachium.

Dorota przepuszczała pieniądze na najbardziej karkołomnych karuzelach „Octoberfest”, a ja patrzyłem na to szczęśliwy takim zwykłym szczęściem, że zło, które ją dopadło, teraz trzyma się od niej z dala, a w niej nie ma tego smutku i lęku choroby, tylko jest radość, no i trochę strachu z wiszenia głową w dół.

Wreszcie przysłała pora wyjazdu do Paryża. Kończył się wrzesień. Na Gare de l'Est czekał Alik Smolar. Kiedy go zobaczyłem na peronie, poczułem się tak, jakbym po bardzo wyczerpującym dyżurze zobaczył zmiennika, który przejmie „wszystkie nasze dzienne sprawy”, pozwalając mi choć przez parę dni na luksus nieodpowiedzialności za cokolwiek. I tak się stało. Paryż to nie był przystanek. To była meta na siedem lat.

Sądząc po oczekiwaniach, musiało Pana sporo ze Smolarem łączyć?

Poznaliśmy się na początku lat sześćdziesiątych, studiując ekonomię polityczną na Uniwersytecie Warszawskim. On był „z miasta”, z Warszawy, z

inteligentnej rodziny należącej do establishmentu, ja byłem „z akademika”, z prowincji, z „dołów społecznych”. Obaj należeliśmy do partii. Każdy z nas był ambitny, więc szybko doszło do twardej rywalizacji o prymat na roku, a w pewnym momencie do ostrego starcia. Nie cierpiałem go. Godziła nas wtedy egzekutywa wydziałowa z profesorem Włodzimierzem Brussem na czele. W marcu Smolar i własna ciekawość zaprowadzili mnie na pół roku do więzienia. Potem on wyjechał z Polski, ale ten dziwny związek przetrwał, z wrogości wykluła się moja najtrwalsza przyjaźń z lat studenckich, jednak do dziś wyczuwam między nami skamieniały ślad tamtej rywalizacji dwóch studentów z przeciwległych szczebli drabiny społecznej. W siedemdziesiątym siódmym roku Alik zaprosił mnie do Paryża. To był mój pierwszy wyjazd na Zachód.

Po przyjeździe do Paryża zamieszkaliście u Smolarów?

Nie, piętro niżej u młodego Edelmana syna Marka i jego żony Zofii Lipeckiej, malarki, która zrobiła okładkę do paryskiego wydania „Obozu”. Trzeba było jednak startować w nowe życie. Napisałem projekt książki „Wpływ sytuacji gospodarczej na przebieg wydarzeń w latach 1980-1981”, temat pasjonujący, do dziś nie ruszony, bo ja tej książki nie napisałem. Projekt w kilkudziesięciu egzemplarzach powędrował do różnych instytucji w wielu krajach. To było jak zarzucenie wędek. Złapały się dwie ryby. Dostałem niewielkie stypendium z École des Hautes Études en Sciences Sociales (Szkoła Wyższych Studiów Społecznych) w Paryżu. Była to niewielka szkoła dla studiów postuniwersyteckich o sporej renomie, wywodząca się ze swego rodzaju Wolnej Wszechnicy założonej w latach trzydziestych przez socjalistów. Spotykało się na niej lewicę i lewaków, na tablicach wisiały gazetki

trockistowskie, ale była to zarazem szkoła, z którą związany był Raymond Aron, Alain Besancon,

a więc wielkie nazwiska francuskiej prawicy intelektualnej. Było to też schronisko dla jajogłowych spod różnych dyktatur, w tym z Europy Centralnej. Z École związani byli Milan Kundera, Kazimierz Brandys, Krzysztof Pomian, Aleksander Smolar, Wojciech Karpiński. Niewielkie stypendium było pomostem do etatu w École, który dostałem od października 1983 roku. Z Wiednia przyszedł większy kontrakt, tak że po tym wszystkim finansowe podstawy naszego gospodarstwa nie rysowały się źle. Pieniądze, jak wiadomo, szczęścia nie dają, ale wiele nieszczęść trzymają na dystans.

Dobre podstawy finansowe, a jakie mieszkaniowe?

Po dziesięciu dniach wyprowadziliśmy się z Dorotą „na swoje”, do samego serca Dzielnicy Łacińskiej, do tego miejsca, którego historia odbija skomplikowane życie francuskich studentów i intelektualistów z rządami republiki i jej policją. Dzielnica Łacińska to, można powiedzieć, schowek z duszą francuskiej lewicy intelektualnej. Ileż wielkich postaci przemierzało te miejsca, ile powstało tu intelektualnych mód, ile odbiło tu politycznych szajb? Mury burżuazyjnych kamienic nasiąkły tu krzykami demonstrantów, łomotem pał „kominiarzy” z CRS, smrodem gazów łzawiących. Ale w codzienne wieczory z wąskich uliczek przy placu St. Michael unosiły się kuszące zapachy najlepszych kuchni świata. Tutaj przy rue des Écoles, dokładnie naprzeciw College de France zamieszkaliśmy na siódmym piętrze w tak zwanym chambre de bonne, czyli pokoiku dla służby. Z okna widzieliśmy kawałek bulwaru Saint-Germain, katedrę Notre Dame i

oczywiście płowe dachy Paryża.

Ile to was kosztowało?

Nic nie płaciliśmy, nawet za światło płacił właściciel mieszkający parę pięter niżej. Do tego pokoiku trafiliśmy po łańcuszku przyjacielskich starań. Tą samą drogą udało się rozwiązać bardzo wiele dużych i drobnych spraw. Przecież wyjechaliśmy z dwiema walizkami i trzeba było zdobyć wszystko – od łyżeczek do herbaty począwszy, po meble. Komuś, kto wyjeżdżał na Zachód i nie miał takiego kręgu życzliwości lub nie umiał go stworzyć, było bardzo ciężko. Nas w tych początkach samodzielnego pływania podpierali Smolarowie: Alik w sprawach podstawowych, jak praca, Irena w dziesiątkach drobnych kłopotów i w jednej kwestii o priorytecie absolutnym – opieki lekarskiej dla Doroty. Dorota została pacjentką Instytutu Gustave Roussy pod Paryżem, wielkiego centrum antyrakowego. Przez sześć lat chodziliśmy tam na kontrole, najpierw co trzy miesiące, potem co pół roku, potem co rok. Te wydłużające się przerwy między badaniami to były dary nadziei, kolejne kroki oddalające nas od białaczkowej bomby, którą nie wiadomo co podłożyło pod nasze dziecko. Cień nawrotu choroby przez lata wisiał nad nami, dostrzegam go niemal każdego dnia, czytając kartki mego emigracyjnego dziennika, który urywa się 12 grudnia 1986 roku następującym zapisem: „Prawie przeoczyłem tę datę. Dopiero późnym wieczorem nagle odkryłem, że przecież dzisiejszego dnia oczekiwaliśmy całe pięć lat. Dorotka wygląda normalnie, jest tylko zmęczona szkołą jak Natalia i Maciek. Pięć lat temu rano wzięto jej szpik do analizy. To była całkowita remisja”. Jeżeli po pięciu latach nie ma nawrotu choroby, pacjenta uważa się za wyleczonego. Tego dnia moja

podświadomość, na zasadzie bezgranicznego zaufania do nauki i medycyny, uwolniła się od największego lęku, który musiałem dzielić z zapisywanymi kartkami.

Mieszkaliście więc na poddaszu?

Co najmniej. Z okna naszej facjatki wychodziło się wprost na dach. Poddasza Paryża to jest temat godzin pióra Wiktora Hugo. „Szambrdebony”, mówiąc w spolszczeniu, mają zwykle oddzielną klatkę schodową z napisem „service”, czyli służba. Wchodzi się do nich ciasną, często obskurną rurą jak na wieżę kościelną. Pod samym dachem długie korytarze, a po obu stronach drzwi do pokojów, z których każdy należy do któregoś z luksusowych burżuazyjnych apartamentów na niższych piętrach. Służbówki mają po jakieś 5-6 metrów kwadratowych. Mieści się w nich łóżko, komoda i umywalka. Na korytarzu jest wspólny prysznic i ubikacja. To ogromne terytorium kilkadziesiąt metrów nad poziomem ulic, opróżnione przez mocno dziś przeredzoną klasę służących, zamieszkuje mozaika ras, klas i typów. Przeważa finansowy plebs: studenci, imigranci, emeryci, ale zdarza się spotkać oryginałów z grubszymi portfelami, dla których tylko Francja poddaszy przechowała swe rewolucyjne wartości: wolność, równość i braterstwo. Za krótko mieszkałem w świecie „szambrdebony”, by móc to sprawdzić, lecz jest to także świat samotności, w którym wcale nierzadko znajduje się mumie ludzi zmarłych w opuszczeniu, bywa, że znanych kiedyś i kasowych, a zapomnianych modelek czy aktorek.

Trafiliśmy dobrze. Kamienica miała lewicowe widać odchylenie, bo do służbówek wchodziło się główną klatką i jechało aż do szóstego piętra windą razem

z „państwem”, tylko jedno piętro trzeba było przejść. W samym pokoiku nie brakowało niczego, nawet korkociągu i noża do serów. Co ja mówię, słowo „nawet” tu nie pasuje, bo bez tych dwu narzędzi cała kuchenna infrastruktura francuskiego domu leży w gruzach. Znaleźliśmy nawet nóż do otwierania ostryg.

Pięć metrów kwadratowych dla dwu osób to jednak niewiele?

Przez parę tygodni to było pięć metrów w raju. Przeszliśmy od sytuacji „u kogoś” do sytuacji „u siebie”. Potrzebowaliśmy odseparowania i samotności we dwoje. Samotność była całkowita. Nie mieliśmy radia, telewizora, telefonu. Dorota zaczęła chodzić do szkoły, ja pisałem. Po paru tygodniach raj zaczął się zmieniać w klatkę. Kiedy przed zmrokiem Dorota wracała ze szkoły, popędzany jej wzrokiem, a zdarzało się że i wprost, wychodziłem na rozświetlone latarniami, witrynami, reklamami ulice Dzielnicy Łacińskiej, wypełnione tłumem tak barwnym i różnorodnym, oryginalnym, że można było godzinami siedzieć przy wystawionym na ulicę stoliku kawiarnianym i patrzeć na ten tłum. Później robiłem to z upodobaniem, ale na początku to wrzące wokół życie było pełne niewiadomego, pułapek, gaf. Nawet usiąść przy tym stoliku i zamówić kawę to był okropny problem dla nie znającego języka i zwyczajów. Gdyby ktoś się odezwał, nie wiedziałbym, co zrobić. Wokół mnie był tłum, czyli nikt. Chodziłem po ulicach jak po pustkowiu, choć dookoła tętniło najpiękniejsze miasto Europy.

W grudniu 1982 roku wynajęliśmy trzypokojowe mieszkanie w Alfortville, armeńskim miasteczku tuż przy granicy Paryża.

Jak się wynajmuje mieszkanie w Paryżu?

Wcale nie tak łatwo. Trzeba mieć stałe dochody, czyli pracę, i zapłacić kaucję, często wysoką. Ale nam wynajął mieszkanie lewicowy chrześcijanin z CFDT zakochany w „Solidarności”, a namówiony przez polską emigracyjną trockistkę. Po poprzednich właścicielach została tylko palma – obecnie na emigracji w Warszawie – trzeba więc było mieszkanie urządzić. Towarzyszka trockistka wynajęła furgonetkę i spod Paryża przywieźliśmy trzy czwarte wszystkiego, co było potrzebne, nic nie płacąc. Dwie damy na emeryturze, z mieszczaństwa, sądząc po wyglądzie, miały tam skład różnych rzeczy zbieranych od Francuzów i rozdawanych przybyłym z Polski ofiarom stanu wojennego. Trzeba powiedzieć, że na 13 grudnia Francuzi zareagowali prawdziwą erupcją solidarności i ofiarności tak dla społeczeństwa w kraju, jak i dla emigrantów. Ta życzliwość bardzo wtedy ułatwiała start. Resztę rzeczy pościągałem od znajomych i przyjaciół. Ogromny toból wszystkiego przytaszczyłem kilkoma liniami metra od Andrzeja Seweryna, mającego dzięki żonie dobrze zasiedziały francuski dom, w którym zawsze jest o połowę rzeczy za dużo. Po dwóch tygodniach mieszkanie było urządzone. Spędziliśmy w nim rok, mając za oknami Radom obwieszony szyldami i pachnący raz w tygodniu ormiańskimi przyprawami, których góry leżały na jarmarcznych straganach. W dzień chodziłem na kurs francuskiego, a nocami pisałem kolejne artykuły do „Aneksu”, obficie podpedzając inwencję czerwonym winem. Dorota po powrocie ze szkoły znikwała w swoim pokoju, słuchając muzyki, czytając książki i objadając się po uszy bananami, mandarynkami i czekoladą. Patrzyłem na nią jak Staś na Nel, gdy wracając do zdrowia tłuszciała mu na Górze Lindego.

Kiedy przyjechała reszta rodziny?

W dzień zmarłych, pierwszego listopada 1983 roku. Ich przyjazd miał związek ze śmiercią. We wrześniu w Lund zmarła na białaczkę Joanna Koraszewska, rówieśniczka Doroty, córka naszych starych znajomych. Dziewczynki zachorowały niemal jednocześnie. Koraszewscy zrobili wszystko, żeby do odciętej stanem wojennym Polski dostarczyć leki, których Dorocie nie mogło zabraknąć. W rok później obie panienki były w doskonałej formie. Poznały się, bo Dorota na Boże Narodzenie 1982 roku pojechała do Koraszewskich. W kwietniu nadeszły złe wieści Joanna miała ostry nawrót choroby. Zmarła trzeciego września 1983 roku. Jej śmierć była jak trzaśnięcie pioruna tuż koło nas i tak to odebrała Halina, kiedy się o tym dowiedziała kilka tygodni później. Zapragnęła znaleźć się natychmiast przy Dorocie, jakby po to, żeby zasłonić ją przed następnym trzaśnięciem i to przyspieszyło ich wyjazd. Na lotnisku mała Natalia podskakiwała radośnie, ciesząc się na spotkanie z tatą, zupełnie nieświadoma, że spotka się też ze swoją drugą ojczyzną. Maciej był ponury. Nad Wisłą zostawił szkołę, kolegów, znany, dobrze wymoszczony świat z własnym pokojem.

Mieszkanie w Alfortville, pałac wilanowski dla dwójki wymęczonej kilkoma miesiącami w chambre de bonne, gdy towarzystwo się rozpakowało, zamienił się w ciasną, ponurą klitę. Zauważyliśmy, że jest zimno, ciemno i hałas dochodzi z ulicy.

Niezbyt wesoło, jak na wspólny emigracyjny start.

Byłoby smutniej, gdyby nie szykowało się mieszkanie, jakie załatwiłem dzięki Komitetowi Pomocy Polakom. Leżało na największym wzgórzu w okolicy. Z okien na trzecim piętrze widać było Maisons-Laffitte, tuż za Sekwaną ten bogatszy, ze znanym hipodromem i willą Mariny Vlady pośród innych luksusowych

rezydencji, dalej ten uboższy, ale też burżuazyjny, z Giedroyciem i „Kulturą”. Od tej strony szły wiatry, najsilniejsze jesienią i wiosną, resztki sztormów znad Atlantyku. Bardziej na wschód był Paryż, a daleko, daleko za nim, gdzieś tam za horyzontem, do którego wieczorną porą prowadziły dywany świateł dziesiątków miasteczek upchanych w tej ogromnej paryskiej aglomeracji, leżała Polska. Siedzieliśmy na tej górcie przez sześć lat. Miasteczko nazywało się Sartrouville, do granic Paryża było piętnaście kilometrów.

Jak wyglądało życie emigracji solidarnościowej w Paryżu?

To był nowy słój uchodźców z Polski. Gdy chodzi o Paryż, niewielki, raczej młody wiekiem i inteligencki. Francja nie cieszyła się wśród emigrujących solidarnościowców dużym wzięciem. Wybierali raczej RFN lub USA. Nad Sekwaną zatrzymywało się trochę byłych internowanych, ale na ogół wyjeżdżali na prowincję w poszukiwaniu pracy i wsiąkali w codzienne życie, porzucając politykę. Solidarnościowy Paryż Anno Domini 1982 to była spora dawka dekadencji, ludzi ze świeżymi korzeniami na wierzchu, podlewana obficie tanim czerwonym winem, to było także sporo z atmosfery pionierów moszczących sobie od nowa gniazda na nowej ziemi i to był ciągle zapach prochu stanu wojennego. Wiara pociągała z butelki i szukała, jak zarobić trochę franków. Prawie każdy grzebał coś dla sprawy.

Kto to „grzebanie” organizował?

Najważniejszym punktem zbornym był „Komitet Solidarności”, któremu lokal i jakieś pieniądze dawała francuska centrala związkowa CFDT, wierna „Solidarności” aż do jej wyjścia z podziemia w roku 1989. Najważniejszą osobą w

Komitecie był wtedy Seweryn Blumsztajn, którego stan wojenny przytrzymał w Paryżu. Dla Sewka była to prawdziwa kara, z którą nie mógł się pogodzić, i w kilka lat później próbował brawurowo, z wielkim rozgłosem wrócić do kraju. Odprowadzali go na Orly wybitni przedstawiciele inteligencji francuskiej z Yves Montandem oraz tłumek przyjaciół z transparentem: „Z raję do kraju”. Nim zjedliśmy kolację po powrocie z lotniska, radio podało, że Blumsztajn jest znów na Orly, bo „czerwony” go wrócił „z kraju do raję”.

Jesienią 1982 roku w Komitecie toczyła się krótkotrwała walka o władzę z Kowalewskim, dziwnym połączeniem ekscastrysty i solidarnościowca, wynalazcą tak zwanego strajku czynnego w roku 1981. Kowalewski był przeciw podporządkowaniu Komitetu krajowemu władzom związku z Lechem Wałęsą na czele i przegrał.

Czym się Komitet zajmował?

Zbierał informacje o represjonowanych, przekazywał ich nazwiska prasie i organizacjom francuskim w celu organizowania obrony i pomocy, nawiązywał kontakty z podziemiem i zaczynał organizować przerzut do kraju tego, co było potrzebne w konspiracji, obsługiwał liczne mityngi komitetów pomocy, jakich dziesiątki powstawały w całej Francji. W Komitecie można było spotkać znajomych, poczytać bibułę, wreszcie z Komitetu chadzało się pod ambasadę polską na demonstrację przeciwko Jaruzelskiemu.

Często Pan tam chadzał?

Kilka razy. Zwykle towarzyszyła nam spora grupa sympatyków francuskich,

niestety, często z bardzo skłóconych obozów politycznych i jak się przed konsulatem ze sobą spotkali na przykład socjaliści z trockistami, to zapominali o solidarności z „Solidarnością” i zaczęli pięściami regulować swoje francuskie kontrowersje ideologiczne. Raz o mało co nie dostałem w zęby, ale w ostatniej chwili poinformowałem łamaną francuszczyzną, że jestem Polakiem, na co tamten powiedział: „pardon”, obrócił się i dał w zęby komuś kilka kroków ode mnie.

Jakie były jeszcze ośrodki tej emigracji?

Drugim ośrodkiem politycznym był miesięcznik „Kontakt”, założony przez Bronisława Wildsztajna i Mirosława Chojeckiego. Początkowo redakcja „Kontaktu” mieściła się koło Les Halles (nazwa ta pochodzi od hal targowych, które tam kiedyś były) w prywatnym mieszkaniu polskiego architekta. To mieszkanie zapamiętałem z Sylwestra w 1982 roku. Było bardzo tłoczno. Już chyba po północy mocno zawiane towarzystwo zadzwoniło do Pałacu Mostowskich w Warszawie:

- Panie władzo, przyjeżdżajcie jak najszybciej, bo na rue Rivoli wieszają komunistów.

- Proszę natychmiast przestać i pamiętać, że rozmowa jest kontrolowana brzmiała odpowiedź gliny z Warszawy.

Uciecha była ogromna, podobnie jak rachunek telefoniczny dla właściciela mieszkania.

Przez długi czas oprócz wydawania „Kontaktu” Mirek zajmował się szmugłem do Polski urządzeń technicznych dla podziemia. Były również inicjatywy humanitarne, niekonieczne podejmowane przez solidarnościowych

emigrantów, ale związane z „Solidarnością”. Odzież, żywność i leki zbierał i wysyłał do Polski ksiądz Plater, w Boulogne pod Paryżem działał Komitet Pomocy Polakom, ułatwiający rozwiązywanie różnych życiowych spraw nowo przybyłym.

A co to było: „Wiosna nasza”?

To było miejsce związane właśnie z tym pierwszym pionierskim i dekadencckim okresem nowej grupki wychodźczej na paryskim bruku. Nazwa wzięła się oczywiście od hasła głośnego zimą 1981 roku: „Zima wasza, wiosna nasza”. Niedaleko placu Bastylli, w jednej z tysiąca anonimowych uliczek paryskich był zaniedbany lokal sklepowy z futryną wyłożoną pomalowanym na zielono drewnem. W lokalu trwał właśnie remont, w wyniku którego miało powstać coś, czego nikt nie potrafił przewidzieć. Przy ścianie na prawo od drzwi była ciasna dziura w podłodze, a w niej drewniane drabinoschody prowadzące do trzech chyba piwnicznych komór z sufitami sklepieniami w łuk. Przybysza otaczała zewsząd goła cegła. Panował tam półmrok, z którym współżyły słabe żarówki i płonące świece, a także lekki chłodno-stęchły zapach piwnicy. Jedną z sal to była sala występów, w ostatniej można było wypić wino, piwo lub kawę i przekąsić tanią kanapkę. „Wiosnę naszą” założyli nieznani mi młodzi ludzie z potrzeby jakiegoś towarzyskiego miejsca spotkań, żeby zabić choć na chwilę samotność emigracyjnego początku, a przy okazji zarobić. W „Wiosnie naszej” bywał często niezły tłumek, swoje najnowsze piosenki śpiewał Jacek Kaczmarski, przychodziła Natasza Gorbaniewska i inni emigranci rosyjscy, czescy, zjawiali się Smolarowie, Pomianowie. To miejsce było nam bardzo potrzebne, niestety, potrzeba bez siły nabywczej nie miała szansy, a wychodźczy tłumek z 1981 roku tą siłą jeszcze nie

rozporządzał i po jakimś czasie „Wiosna nasza” została zamknięta.

Ostatni okres na emigracji...

...pozostawał pod wpływem wydarzeń związanych z pieriestrojką. Sądzę, że dosyć wcześnie dostrzegłem, że w Związku Radzieckim zaczyna się dziać coś bardzo poważnego. Latem 1986 roku przeczytałem przypadkiem w paryskim studio „Wolnej Europy” kilka numerów „Prawdy”. Uderzyła mnie zmiana języka, który przestał być patetycznie ideologiczny. Ponieważ ostatni raz „Prawdę” miałem w ręku wiele lat wcześniej, wrażenie zmiany było bardzo silne. Pod jego wpływem zadzwoniłem do Monachium do pisma „Strana i Mir”, czyli „Kraj i Świat”, żeby ze znajomym redaktorem podzielić się tym wrażeniem. Ze „Straną i Mirem” współpracowałem już wtedy od jakichś dwu lat, pisząc co miesiąc polską kronikę.

Borys, u was pachnie jakąś „moskiewską wiosną”, bo język „Prawdy” się ześwieczył powiedziałem, ale on zupełnie to zbagatelizował, powtarzając przeważające wtedy także wśród czołówki sowietologów opinie, że polityka Gorbaczowa to bluff dla oszukania Zachodu. Po wakacjach zadzwonił jednak, mówiąc, że chyba miałem rację, bo w prasie radzieckiej pokazują się teksty jak z samizdatu. zaproponował mi napisanie trzech stron maszynopisu do sondy, jaką chcieli drukować w listopadzie. Swój artykuł zatytułowałem: „Pierwszy wyłom”. Dowodziłem w nim, że jeśli Gorbaczow będzie kontynuował swoją odgórną rewolucję zwaną pieriestrojką, to nieuchronnie odblokuje mechanizmy rewolucji oddolnej, które wprowadzą na scenę narody ZSRR, stawiając pod znakiem zapytania istnienie systemu komunistycznego. W tej sondzie wziął udział Andrzej Drawicz. On spośród nas wszystkich pierwszy dostrzegł wielkość wydarzeń

nadciągających zza kurtyny pieriestrojki. Zwolnienie więźniów politycznych w drugiej połowie 1986 roku świadczyło, moim zdaniem, o pierwszym podmuchu odwilży nadciągającej ze Wschodu.

Powrót.

Siedemnastego lipca 1989 roku siadłem za kierownicą dopiero co kupionego we Francji nowego opła kadeta i ruszyłem do Polski, do rodzinnego miasta Kalisza, gdzie na raka żołądka umierała moja matka. Wracalem do kraju właściwie po to, żeby towarzyszyć jej w umieraniu, a nie po to, żeby już w Polsce pozostać, o czym świadczył ten świeżo kupiony opel, który przecież mógł być splecony – bo jak to się tam robi, kupilem go na kredyt – tylko wtedy, jeżeli w dalszym ciągu pracowałbym na Zachodzie.

Jechałem przez Niemcy, słuchając radia i w miarę jak oddalałem się od Francji, cichły jedna po drugiej stacje francuskie na UKF, a pojawiały się stacje niemieckie. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że żegnam stacje francuskie na zawsze. To był już język, który właściwie uważałem za swój, i kiedy znikał z fal radiowych francuski, bo wkraczałem w niemiecką sferę językową, to znów był to inny, obcy świat. W pewnym momencie, po przestawieniu na średnią czy długą falę, usłyszałem radio Warszawa i to było bardzo nieprzyjemne uczucie. Oto mimo „okrągłego stołu” i już częściowej wolności usłyszawszy głos radia Warszawa, miałem nieprzyjemne odczucie, że sam dobrowolnie zmierzam znów w kierunku obozowej zony i jeszcze jedno, że jadę nie tyle do Europy nędzy, co do Europy nędznej, do Europy bylejakości, złego zorganizowania wszystkiego, Europy tkwiącej u cywilizacyjnego podnóżka, Europy drugiego, trzeciego gatunku. Nie ma

rady, muszę to powiedzieć, tak to czułem, a na uczucia nie ma sposobu. Są takie, jakie są. Głos radia Warszawa to był zgrzyt zbliżającej się ojczyzny, a jedyną pociechą było właściwie to, że jadę tam na niedługi czas i że wkrótce na tej samej drodze będę słuchał wracających z powrotem na fale eteru rozgłośni francuskich. Następnego dnia dojechałem do Kalisza i rozpocząłem trwające ponad miesiąc oglądanie z bliska straszliwego spektaklu śmierci na raka żołądka, jaki odbywał się z mamą.

- Jak to było możliwe, żeby uchodźca z Polski wracał do niej, posługując się uchodźczymi papierami?

- To prawda, wracałem mając azylanckie papiery. Przepisy międzynarodowe przewidują, że uchodźcy mogą odwiedzić ojczyznę w wyjątkowych wypadkach. Azylant otrzymuje wtedy rodzaj „listu żelaznego” gwarantującego mu ochronę, to znaczy że gdyby w Polsce mnie przymknęli, to Francja może nie wypowiedziałaby zaraz wojny, ale by się o mnie upomniała. „List żelazny” wydała mi prefektura (policja) w Wersalu, której podlegało Sartrouville.

- Jak Mazowiecki zareagował na Pański przyjazd?

- Jeśli dobrze pamiętam, wyraźnie się ucieszył. Nie wykluczam, że był pewien, iż ma mnie już definitywnie z powrotem. Czas był dla niego niełatwy. Potrzebował wsparcia i pomocy, i liczył na to, że właśnie z mojej strony takie wsparcie i pomoc znajdzie. Przeżywał trudny okres, bo kilka miesięcy wcześniej sprzeciwił się w Komitecie Obywatelskim przy Przewodniczącym NSZZ „Solidarność” sposobowi wyłaniania kandydatów na posłów i senatorów.

Tadeusz nie był też zadowolony z poziomu „Tygodnika Solidarność”. Uważał,

że powinien on być lepszy. Kiedy się zorientował, że chcę wrócić do Francji, zaczął mnie przekonywać, żebym pozostał w kraju i pomógł mu redagować tygodnik. Wiele godzin spędziliśmy razem, chodząc po Łazienkach. Nie mogłem zdecydować się na rezygnację z całkowicie ustabilizowanego życia paryskiego. Rodzina była już tam zakorzeniona, dzieci studiowały, chodziły do szkół. Nie mogłem się zdecydować na powrót do Polski po to, żeby robić dokładnie to, co robiłem w zupełnie innym okresie, prawie dziesięć lat wcześniej. Do niczego, w każdym razie w czasie spacerów w Łazienkach, nie doszliśmy. Oczywiście żadnemu z nas na myśl nie przyszło, bo przyjść nie mogło, że tylko trzy tygodnie dzieli Mazowieckiego od momentu, kiedy miał zacząć formowanie pierwszego niekomunistycznego rządu. Wtedy podczas naszej rozmowy był on zdecydowanie przeciwny, by „Solidarność” brała na siebie tego rodzaju odpowiedzialność, godząc się na uczestniczenie w rządzie z przewagą komunistów, bo przecież pierwsze skrzypce grał wtedy jeszcze Kiszczak.

- W Łazienkach powiedział Pan: nie, kiedy zatem powiedział Pan: tak?

- Nie powiedziałem wtedy wprost: nie. Zrobienie Mazowieckiemu czegoś takiego niemal na powitanie było za trudne dla mnie. Raczej, jeśli tak można powiedzieć, zamąciłem sprawę i wróciłem do Kalisza. W połowie sierpnia słuchając Radia „Wolna Europa”, a słuchałem go w każdej chwili, gdy nie byłem przy mamie, dowiedziałem się, że po Warszawie krążą pogłoski, jakoby Wałęsa miał zostać premierem. Była to sensacyjna wiadomość, chciałem dowiedzieć się, co na ten temat wie i sądzi Mazowiecki, więc zadzwoniłem do niego, spodziewając się, że usłyszę, zgodnie z tym co mówił ostatnio, raczej krytyczną opinię w stylu, że

Wałęsa idzie za daleko. Byłem zaskoczony, słysząc w słuchawce inny ton. Tadeusz, cedząc z wysiłkiem słowa, mówił mniej więcej tak: „No wiesz, trzeba coś robić, sytuacja jest bardzo trudna, nie można tego wszystkiego zostawić ot, tak sobie”. Sytuacja rzeczywiście była trudna, ponieważ od dwóch tygodni szalała już hiperinflacja wywołana zlikwidowaniem przez rząd Rakowskiego z dniem 1 sierpnia administracyjnej kontroli cen żywności, które rosły z godziny na godzinę w przerażający sposób, wywołując w ludziach zupełne oszołomienie. Dostrzegałem to w oczach kaliskich kobiet robiących zakupy. Czegoś takiego obecnie żyjące pokolenia nigdy nie widziały.

Słyszając nowy ton, wyczułem, że coś za nim stoi, więc spytałem wprost: Czy robiono ci jakieś propozycje? Tu wysiłek przyszłego premiera, nie lubiącego ze starego nawyku rozmawiać o polityce przez telefon, był jeszcze większy. Po chwili sapiąc, zacinając się, wykrztusił, że tak, ale nie powiedział, jakie to były propozycje, tylko dodał: „ale nie wiem, co robić, co byś mi radził?” i tak dalej. Odpowiedziałem mniej więcej w tym stylu, że skoro drużyna Wałęsy wychodzi na boisko, to ty nie powinieneś już siedzieć na ławce rezerwowych, tylko też musisz wyjść na boisko, ale niżej wicepremiera cię nie widzę. Wtedy na tym nasza rozmowa się skończyła. Czułem, że Mazowiecki nie powiedział mi wszystkiego i że już podjął jakieś decyzje, a pytanie o radę to był taki typowy dla niego sposób sprawdzania, czy to, co zamierzył zrobić, jest słuszne, i czy nie przeoczył jakiegoś ważnego przeciwwskazania.

Następnego dnia „Wolna Europa” podała wypowiedź Wałęsy, z której wynikało, że on w ogóle nie zamierza być premierem, natomiast ma kilku

kandydatów i swoje propozycje przedłożył prezydentowi Jaruzelskiemu, żeby wybrał najlepszego kandydata na to stanowisko. Od razu było dla mnie jasne, że wśród tych kandydatów będzie Mazowiecki i że w tej sytuacji, jaka wtedy istniała, będzie on najlepszym kandydatem i zapewne on zostanie wybrany. Przypomniało mi się też, co powiedział o propozycjach pod jego adresem. Później sam przyznał, że już wtedy wiedział, że zostanie prawdopodobnie wybrany, ale nie chciał mi tego powiedzieć przez telefon.

Słyszając te pogłoski, podniosłem słuchawkę i zadzwoniłem znów do Tadeusza. Powiedziałem mu: Słuchaj, chyba wczoraj cię nie doceniłem i wobec tego podwyższam ci moją nominację o oczko. I po chwili takiego namysłu, który w mgnieniu oka dokonuje się gdzieś w podświadomości, dodałem jednym tchem: Jeżeli moja nominacja dla ciebie zostanie zatwierdzona, wtedy gotów jestem zostać w Polsce, żeby ci pomagać.

Milczenie. Mnie zaś błyskawicznie przebiegła po głowie myśl, że teraz dostanę kosza za mącenie w czasie rozmowy w Łazienkach. Minęły ze trzy sekundy nim się odezwał: „No to dużo powiedziałaś, ale ja teraz jadę do Gdańska, będę z powrotem w poniedziałek, więc przyjedź do Warszawy w poniedziałek, to porozmawiamy”. I na tym się rozmowa skończyła. Odłożyłem słuchawkę i w tym momencie sobie uświadomiłem, że właśnie wysadziłem w powietrze moje ustabilizowane życie paryskie. Zrobiłem to, nie pytając ani żony, ani dzieci o zgodę, zresztą, nie mogłem tego zrobić, bo wrócili już do Paryża. Kończyły się wakacje.

Rozmowa odbyła się w piątek, potem był weekend, w czasie którego siedziałem z uchem przy radiu, targany mieszanymi uczuciami. Z jednej strony było

jasne, że potwierdzenie kandydatury Mazowieckiego na premiera to dla rodziny – i jakby powiedzieli „starsi panowie” – nagły i niespodziewany koniec lata. Siedem lat we Francji to był w domu spokój, dostatek, zdrowie i świat stał otworem, słowem szczęście, które się miało skończyć, a które teraz dopiero ujrzałem we właściwych kolorach, bo wcześniej brałem je nieraz za nudę. Ale gdy Tadeusz nie zostanie wybrany, to największa sprawa w moim życiu, tak samo nagle i nieoczekiwanie zaczynająca się, zwiędnie.

W poniedziałek 21 sierpnia nie pojechałem do Warszawy. Czasem czeka się, aby życie potwierdziło decyzję, żeby postawiło kropkę nad „i”. Nie pojechałem, mówiąc sobie, że Mazowiecki zapomni i będzie jak było. O godzinie 10 zadzwonił telefon. Ania Cisło zdziwiona zapytała: „Ty jeszcze jesteś w Kaliszu? Mazowiecki dzwonił i pytał, czy jesteś już na miejscu?” Ruszyłem więc do Warszawy. W siedzibie „Tygodnika Solidarność” był sztab Mazowieckiego. Nominacji Tadeusza na stanowisko premiera nie zatwierdził jeszcze Sejm, nie mógł więc i zresztą nie chciał, korzystać z pomieszczeń URM, gdzie nadal urzędował Rakowski. W małym pokoiku przylegającym do gabinetu Mazowieckiego odbywały się narady na temat przyszłego rządu i jego programu. Brali w nich udział: Jacek Ambroziak, Wojtek Arkuszewski, Jurek Ciemniowski; dosyć często bywał też wtedy Wojtek Mazowiecki, najstarszy syn Tadeusza, dziennikarz „Gazety Wyborczej”, no i ja. To była wąska grupa zaufanych Mazowieckiego, z którą startował. Najważniejszą rzeczą było przygotowanie deklaracji politycznej, którą miał wygłosić w czwartek 24 sierpnia w Sejmie. Mieliśmy dwa dni. Deklaracja miała być krótka, jej wygłoszenie miało trwać nie dłużej niż 10-15 min.

Podzieliliśmy się między sobą, ja napisałem projekt części gospodarczej.

- Jak zareagowała Pańska żona na wieść, że nie wraca Pan do Francji?

- Odpowiedziała, że dobrze zrobiłem. Ale to na pewno był dla niej wstrząs.

Oprócz tego doszło do nieporozumienia. Miałem wrażenie, że decydując się na zostanie, stawiam ich w bardzo trudnej sytuacji, bo oni nie będą chcieli w tym momencie wracać. Dorota za dziewięć miesięcy miała zdawać maturę francuską. Wobec tego nie dopuszczałem myśli, żeby postawić sprawę twardo, powiedzieć: zwijajcie manatki i wracajcie natychmiast, tylko przekazywałem im jakieś dziwne rady, sam zaczadzony tym wszystkim, co tutaj się działo. Radziłem Halinie: staraj się o pracę, może w BBC, może wystąp o etat w „Wolnej Europie”. Opierałem swoje nie najmądrzejsze rady na przypuszczeniach, że oni nie chcą wracać, a oni odnieśli wrażenie, że to ja nie chcę, żeby oni przyjeżdżali do Polski, że coś knuję, kręcę i w ogóle chcę ich trzymać jak najdalej od siebie. Dopiero później to sobie wyjaśniliśmy.

To był dla nich fatalny rok, dlatego że zostali z miesiąca na miesiąc bez mojej pensji. Po otrzymaniu nominacji podziękowałem za azyl polityczny, napisałem też do dyrektora paryskiej szkoły list, w którym złożyłem rezygnację z etatu, wskutek czego zaraz następnego miesiąca przestano mi płacić. Do tego doszło nagle rozdzielenie rodziny, która zawsze była razem, a szczególnie w czasie tych ostatnich siedmiu lat. Przez długi czas życie na emigracji jest życiem w pustce i samotności. Ponieważ nas było dużo, 5 osób, to dla nas odosobnienie na francuskiej ziemi nie było tak dotkliwe. Żyliśmy własnym życiem według utartego rytmu i nagle krach, a na dodatek brak pieniędzy, problemy, obniżenie poziomu życia i

niepewność, zabrakło – tak ktoś określił rolę mężczyzny w rodzinie – męskich spodni wiszących w przedpokoju. Matka daje rodzinie ciepło, ojciec bezpieczeństwo, jak te dwa składniki są obecne, to dom ma duszę.

- Podobno stojący pod URM opel na francuskiej rejestracji budził stale zaniepokojenie milicjantów?

- Skądże znowu? Na samym początku pytali mnie, czy mam prawo tu parkować. Potem zorientowali się, że jest to samochód jednego ze świeżo upieczonych prominentów i przestali zwracać na niego uwagę. Zresztą wkrótce dostałem samochód służbowy i odwoziłem opla do Francji, a także oddałem mój paszport azylancki. To było świadectwo czasu i kuriozum dyplomatyczne, ale kiedy otrzymałem nominację na podsekretarza stanu, nadal byłem azylantem – uciekinierem z Polski i formalnie republika francuska nadal chroniła mnie przed strasznym reżimem warszawskim. Musiałem więc te sprawy szybko uregulować. Jechałem do Francji, mając w ręku paszport azylancki, a ukryty w torbie paszport dyplomatyczny, który miano mi oficjalnie wręczyć w ambasadzie w Paryżu, i na podstawie którego miałem potem wrócić do kraju. Podobno to przewożenie paszportu było naruszeniem zwyczajów. Na posterunek graniczny w Zgorzelcu wysłano stosowny teleks, a ponadto miałem przy sobie pismo z URM informujące, po co ten paszport wiozę.

Dojechałem do Zgorzelca, a tam straszliwa kolejka, ale w Warszawie mi powiedzieli, żebym podjechał bezpośrednio pod posterunek graniczny, wobec tego ominąłem kolejkę, jadąc wzdłuż niej jako VIP (czyli bardzo ważna osoba). Kiedy dojechałem pod posterunek, nagle wyskoczył oficer i szybko odsunął barierkę, żeby

mi zrobić miejsce: „Panie Ministrze, my tu czekamy na Pana już od trzech godzin”. Słabość ludzka we mnie się odezwała, bo pomyślałem sobie, że jednak stałem się ważny.

Pańskie pożegnanie z emigracją...

...odbyło się w ambasadzie polskiej w Paryżu rano piątego października 1989 roku. Zaproponowałem ówczesnemu ambasadorowi, żeby przy okazji wręczenia mi paszportu dyplomatycznego urządzić spotkanie przy lampce wina, zapraszając na nie emigrację polityczną. Byłoby to jej pierwsze wejście na wrogie do tej pory terytorium, które dotąd obserwowaliśmy z zewnątrz, z placu Inwalidów podczas demonstracji antyreżimowych. Widzieliśmy wtedy, jak od czasu do czasu porusza się firanka w którymś z okien, co świadczyło o tym, że i nas obserwowano. Paru znajomych się wykręciło, niektórzy mi wprost odmówili, uznając, że spotkanie przy lampce wina wspólnie z peerelowskim personelem ambasady jest nie do przyjęcia. Przyjechaliśmy na miejsce wcześniej służbową limuzyną – moja żona, nasza trójka: Maciej, Dorota i Natalia, no i ja. Patrzyliśmy w kierunku bramy i oczekiwaliśmy z zainteresowaniem, kto się przełamie. Nadciągnęli: Smolarowie, Piotr Chruszczyński i nieprzejednana antyreżimówka Danuta Nowakowska z paryskiego Komitetu ~.Solidarności”, Broniek Wildstein z „Wolnej Europy”, ksiądz Zenon Modzelewski, palotyn z Centrum Dialogu, Kazimierz Piekarec i Piotr Moszyński z Radia France Internationale. Przyszedł też Michał Wierusz-Kowalski, wiceminister rolnictwa do spraw aprowizacji w ostatnim rządzie Rzeczypospolitej przed wybuchem wojny, osiemdziesięcioletni pan, bardzo aktywny w niesieniu pomocy przybywającym do Francji emigrantom polskim i w szukaniu zagranicznego

wsparcia oraz poparcia dla podziemnej „Solidarności” rolniczej. Byli też inni. Myślę, że dla wszystkich to spotkanie było przeżyciem, materialnym, dotykającym śladem przełomu. W pięknym, stylowym saloniku po wyglansowanych parkietach pełzały dzieci Wildsteinów i Moszyńskich, wnosząc ciepłą nutę i luz. Natalia, nasza najmłodsza córka, imigrantka wśród francuskich uczennic, a więc jakby trochę jednak lepszych, wykorzystała okazję, żeby wzmocnić swoją pozycję w gronie koleżanek, zanosząc usprawiedliwienie na urzędowym blankiecie ambasady, tłumaczące dokładnie przyczynę jej nieobecności na lekcji. Przy lampce wina powiedziałem ze wzruszeniem, że przyjmuję ten peerelowski jeszcze z wyglądu paszport od rządu, który za cel stawia sobie zbudowanie Polski wolnej i demokratycznej. A potem od razu ruszyłem na lotnisko.

W Paryżu zostawiłem rodzinę, siedem lat życia i oczywiście suchką faworytną Znajdę-Pietrowną, najhałaśliwszą postać w domu, kundla królewskiego, jak mówiliśmy, bez kontaktu z jakąkolwiek rasą od przynajmniej dziesięciu pokoleń. Przemierzyła z nami pół Europy, szczekała we wszystkich najważniejszych językach naszego kontynentu.

Potem było Orly, Okęcie i Urząd Rady Ministrów w Alejach Ujazdowskich.

Tworzenie rządu

- Zaczął więc Pan swoją działalność rządową od pracy nad deklaracją polityczną premiera. Czy jej treść była z nim ustalona, czy też zdał się na intuicję swoich ludzi?

- Wszystkie przemówienia Mazowieckiego były z nim ustalane. Najpierw była omawiana ogólna idea i ton, potem odpowiednie fragmenty rozpisywano na

poszczególne osoby, następnie projekt składano i przedstawiano premierowi, który traktował go jako surowiec i nadawał własny kształt. Zdarzało się, że poprawki były nieznaczne, ale zdarzało się też, że wszystko wywalał do góry nogami. Nigdy nie było tak, że dostawał tekst, wchodził na trybunę i wygłaszał go.

Przemówienia Mazowieckiego komponowane były ostatecznie prawie zawsze w ostatniej chwili, bo to musiało być robione z jego udziałem, a on był koszmarnie zajęty, więc na ogół dzień wcześniej zbieraliśmy się gromadą u niego w gabinecie w willi na Parkowej i seans w kłębach dymu tytoniowego i oparach kawy – czasem także... koniaku – trwał do późnej nocy. Mozolnie, zdanie po zdaniu, strona po stronie, Mazowiecki swoim drobnym, trudnym do odczytania pismem z naszych projektów robił swoje przemówienie. Mawiał, że nie potrafiłby wygłosić tekstu „nie przetrząsniętego” jego własnym piórem. My już padaliśmy na nosy, a on fedrował, zmieniał, dodawał, wydziwiał, zrządził, odsyłając kolejne kartki do maszynistki w URM. Tak to się odbywało.

Deklaracja polityczna była bardzo ważna. Miała określić kierunek i styl przemian w polityce i w gospodarce. Cel główny od początku był dla nas jasny – zdemontowanie komunizmu do końca, ale bezpiecznie, żeby nam ta czerwona gwiazda nie eksplodowała w rękach. To było wtedy możliwe, więc Mazowiecki ważył słowa. Przecież nie z miłości do Układu Warszawskiego znalazło się w deklaracji potwierdzenie w nim naszego udziału.

Pamiętajmy, że wtedy Europa Wschodnia jeszcze spała, a my wyskoczyliśmy do przodu tak bardzo, że na przykład wiele osób na emigracji sądziło, iż jest to nowy manewr komunistów, że wypuszczają nas do przodu, a potem wszystko

cofną. Mazowiecki chciał wyraźnie określić kurs, unikając wszakże słownictwa, które mogło wywołać niedobre echo i w PZPR, która miała jeszcze wszystkie środki władzy w rękach, i na Kremlu, gdzie mógłby podnieść się rwetes, że najważniejszy kraj bloku komunistycznego zapowiada powrót do kapitalizmu. To w tej deklaracji było, ale bez słów naładowanych ideologią.

- Jak wyglądała Pańska praca nad fragmentem deklaracji poświęconej gospodarce?

- Zwyczajnie, chociaż to był ten moment, kiedy miałem wpływ na wytyczenie gospodarczego kierunku działania pierwszego niekomunistycznego rządu. Oczywiście było to możliwe tylko dlatego, że moje bardziej fachowe myślenie nie zderzało się, lecz współbrzmiało z tym, co jako laik w ekonomii myślał czy może raczej wyczuwał Mazowiecki.

W końcu to on wybierał, a ja tylko proponowałem. A proponowałem receptę liberalną, bo choć nie jestem fanem liberalizmu, to tę receptę wtedy uważałem za najwłaściwszą, a więc powrót do gospodarki rynkowej, zdławienie inflacji, demonopolizację, prywatyzację, żadnych eksperymentów i trzecich dróg tylko korzystanie ze sprawdzonych wzorów.

Byłem do tego dobrze przygotowany, śledząc rozwój sytuacji gospodarczej w kraju i komentując ją przez Radio „Wolna Europa”. Podsuwałem w tych komentarzach liberalizm, a na inflację – „szok”. Było to takie doradzanie w próżnię i nagle byłem tu, gdzie miało się decydować o polityce gospodarczej. Następnego dnia w parę godzin napisałem mój kawałek. Jeśli nie liczyć zmian kosmetycznych – szef w zdaniu, że wracamy „do gospodarki rynkowej o strukturze własności i roli

państwa zbliżonej do krajów gospodarczo rozwiniętych”, usunął: „o strukturze własności” – była to przecież bardzo słabo tylko zakamuflowana zapowiedź likwidacji tzw. „społecznej własności środków produkcji”. Myślę, że nawet wtedy była to nadmierna ostrożność, ale rozumiałem i podzielałem jej motyw, te o których przed chwilą mówiłem.

- Czy Pana szef wyczuwał dramatyzm decyzji gospodarczych, które będzie musiał podjąć, na przykład w walce z inflacją?

- Mazowiecki nie jest ekonomistą, miał mgłę przed oczami, ale kierunek przemian wyczuwał dobrze. Wiedział, że czeka go walka z inflacją, choć na pewno nie sądził, że będzie tak dotkliwa. Wtedy nie było czasu na szczegóły, toteż w deklaracji powiedziano tylko, że „rząd przygotowuje zestaw niezbędnych posunięć”. Zrobił to i wykonał Leszek Balcerowicz. Tłumacząc sens tej operacji Mazowieckiemu, mówiłem, że będzie to wyglądało tak, jakby ludziom wyjąć z portfeli stos pieniędzy, ułożyć je pod Pałacem Kultury i podpalić. Bardzo kręcił nosem i marudził, ale zapowiedź „szoku” zaakceptował.

- Wałęsa wytypował trzech kandydatów na premiera: Tadeusza Mazowieckiego, Jacka Kuronia i Bronisława Geremka. Skąd miał Pan pewność, że wygra Mazowiecki?

- Ponieważ był idealnym kandydatem, spełniającym oczekiwania wszystkich. Jacek Kuroń, zdemonizowany przez propagandę komunistyczną, był utożsamiany z KOR, co wtedy jeszcze było przeszkodą, natomiast Mazowiecki był związany z Wałęsą, a także z Kościołem, czego nie można było przecież powiedzieć o dwu pozostałych kandydatach. Obecność Kościoła w zachodzących wydarzeniach była

bardzo widoczna. Tadeusz znany był też jako polityk spokojny, trzymający się realiów, wyjątkowo obliczalny. Tylko Wałęsa rozczarował się do Mazowieckiego, bo oczekiwał, że nadal utrzyma się układ szef-doradca, sądził, że wysunął na stanowisko premiera człowieka, który będzie mu powolny, który będzie politykiem słabym. Mazowieckiemu można zaś zarzucić wszystko, ale nikt, kto go zna, nie powie, że jest politykiem słabym.

- Lech Wałęsa był atakowany na posiedzeniu KKW, że bez konsultacji z „Solidarnością” wysunął kandydatury na premiera, a wśród zarzutów był również i ten, że Geremek byłby lepszy, bo jest bardziej przebojowy, co powiedział m. in. Frasyński. Powolność w podejmowaniu decyzji zarzucał Mazowieckiemu Adam Michnik, który w „Gazecie Wyborczej” przypominał jego podziw dla Kutuzowa – mistrza czekania i życzył Mazowieckiemu „wypowiedzi jasnych i konkretnych, decyzji odważnych i dalekowzrocznych”.

- Przypomnę może, że to nie Kutuzow przegrał z Napoleonem. W polityce powolność bywa wadą, ale szybkość bywa czasami przestępstwem. Myślę, że na tle doświadczeń 1991 roku przezorna powolność Mazowieckiego jest solidną cnotą. Nie przeszkodziła ona w podejmowaniu decyzji odważnych i dalekowzrocznych. „Przyspieszacz” – jak dotąd – wywołali serię falstartów. Moim zdaniem, żółwia, ale uparta konsekwencja Mazowieckiego jest niezłą receptą na przyspieszenie, które nie zamienia się w awanturę.

- A Pan kiedy wskoczył w „urzędowy mundur”? Jak doszło do zaproponowania Panu stanowiska?

- Kiedy rozmawialiśmy telefonicznie, Mazowiecki nic mi nie zaproponował.

Wiadomo było, że zostaje premierem; tworzy rząd i potrzebuje ludzi sprawdzonych, do których ma zaufanie. Byłem jednym z nich. Stawiłem się do służby, do pomocy tam, gdzie mogłem być pomocny. Wiedziałem, że obejmę jakieś stanowisko, ale w ogóle o tym nie myślałem. Poza okresem kiedy byłem ministrem i miałem określoną działkę; za którą odpowiadałem, była to praca nad wszystkim, co zlecił premier, praca na konto Mazowieckiego i tylko dla niego, i jedynie on może ocenić czy mu pomagałem pełnić rolę szefa rządu, a więc czy właściwie spełniłem swoją rolę. Czasem żartem mówiłem o swej funkcji: zauszniak premiera. Pomijając negatywny wydźwięk tego słowa, oddaje ono najlepiej istotę mej pracy. Byłem doradcą, podpórką, ale i tym, któremu zdarzało się ochrzanić szefa. Byłem człowiekiem od specjalnych poruczeń, takim „specnaz”, jak mówi się w Armii Czerwonej, albo w razie czego zapchajdziurą do zapychania ważnych dziur, jak tej w Ministerstwie Przekształceń Własnościowych, czy – gdyby się okazało, że Balcerowicz na świecie nie istnieje - tej w Ministerstwie Finansów. Na szczęście Balcerowicz istniał, ale o tym później.

Czas na stanowisko dla mnie przyszedł późno. Role już były rozdane, rząd powołany, ale Mazowiecki nie spieszył się z uregulowaniem mojej sytuacji, bo miał ważniejsze sprawy na głowie, a i tak było wiadomo, że moja rola to będzie rola doradcy premiera, tak to się samo ułożyło. Bliższych wyobrażeń o zespole doradców premiera nie mieliśmy i sądzę, że pomysł jego powołania pojawił się wtedy właściwie głównie po to, żeby mojemu stanowisku nadać odpowiednią wagę, bo szybko administracja dostrzegła moje bliskie związki z szefem, ale ważna była też ranga formalna ze względu na całą sferę protokołu i rytuały hierarchiczne w

biurokracji państwowej. Jako szef doradców zostałem podsekretarzem stanu w URM. Stało się to szesnastego września. Tego dnia zanotowałem w kalendarzyku: „zostałem ministrem”. Nominację w bordowej, sztywnej obwolucie z orłem jeszcze bez korony wręczył mi Mazowiecki dziewiętnastego września u siebie w gabinecie w atmosferze na wpół przyjacielskiej, na wpół oficjalnej. Byłem zatem w służbie państwowej. Przez całe lata, kiedy krytykowałem zwyrodnienia państwa komunistycznego, nie opuszczało mnie pragnienie, by móc pewnego dnia służyć państwu polskiemu, normalnemu państwu, które daje narodowi niepodległość, ludziom wolność i bezpieczeństwo i nie wtrąca się we wszystko. I oto stało się: u progu trzeciej Rzeczypospolitej, powstającej wręcz wzorowo, bez wstrząsów i zamętu, byłem w centrali sterowniczej państwa – Aleje Ujazdowskie 3, gabinet naprzeciw gabinetu premiera.

- Co było tym „węgielnym kamieniem” rządu, który tworzył Mazowiecki?

- Było nim założenie, że w rządzie muszą znaleźć się najważniejsze siły polityczne reprezentowane w Sejmie, a więc nie tylko „Solidarność” oraz SD i ZSL, z którymi Wałęsa paktował, ale także PZPR. Wałęsa swoją śmiałą akcją pokrzyżował plany utworzenia przez generała Kiszcza rządu z przewagą PZPR, ale nie mógł przecież pozbawić jej silnej reprezentacji w Sejmie, a przede wszystkim gestii nad wojskiem i policją, której partia wcale nie zamierzała wtedy oddawać dobrowolnie. O trójczłonowej koalicji „Solidarność-SD-ZSL” można było mówić, ale realia zmuszały do stworzenia wielkiej koalicji z udziałem PZPR. To realia, a nie Magdalenka, zadecydowały o tym. Rząd Mazowieckiego nie miał niczego wspólnego z Magdalenką, bo tam rząd z solidarnościowym premierem

nikomu jeszcze do głowy nie przychodził. Ministrowie z PZPR znaleźli się w rządzie, bo jak powiedział 13 sierpnia 1989 roku Mazowiecki na spotkaniu z OKP: „Nie może być w opozycji partia dysponująca wojskiem i policją”. Wtedy, jesienią 1989 roku, próby pozbawienia tego komunistów byłyby awanturnictwem. Nie można było ryzykować, może nawet krwią, żeby dostać coś, co i tak komunistom wypaść musiało szybko ze słabnących rąk.

- Tak źle oceniał Pan wtedy pozycję partii?

- Tak, jako kompletnie przegraną. Kiedy oglądałem zdjęcia Wałęsy w sojuszniczym uścisku z przywódcami SD i ZSL, wiedziałem, że to już kres PZPR. Kondycja partii była kiepska, to był spróchniały od dawna wóz, który rozpadł się, gdy ludzie Jaruzelskiego chcieli nim ruszyć. Już na emigracji obserwowałem tendencje rozpadowe w PZPR, bowiem już wtedy widać było rozchodzenie się partii i ludzi Jaruzelskiego. W 1989 opublikowałem w „Kontakcie” artykuł: „Gdy znika strach, komunizm umiera”, w którym pisałem, że ustroj komunistyczny jest efemerydą, istnieje tak długo, jak długo ludzie się boją. Im jest bardziej represyjny, tym jest skuteczniejszy. Kiedy represje słabną, ludzie przestają się bać i ustroj się rozpada. To dotyczy też partii, która powstała w czasach terroru. Znaczną część jej członków stanowili ludzie „złowieni” podczas „zaciągów” partyjnych. Byli wśród nich prawicowcy, lewicowcy, ateści, wierzący. Partia to był „podbity kawałek świata bezpartyjnych”. Pod wpływem rozluźnienia politycznego zaczęła rozkładać się jej sztuczna tożsamość ideologiczna i zwartość organizacyjna. Już wtedy było jasne, że jeżeli będzie postępowała demokratyzacja, to partia zniknie. To samo później działo się z KPZR.

- Co sprawiało Mazowieckiemu najwięcej trudności przy formowaniu gabinetu?

- To był niewątpliwie problem podziału tek między koalicyjnych partnerów i problem personalny, czyli znalezienie ludzi. Suma aspiracji PZPR, SD i ZSL stawiała przed nami do rozwiązania problem typu: dwa plus dwa równa się pięć. Ciągłe myśleliśmy, jak pogodzić interesy wszystkich partii i jak znaleźć osoby zdolne pokierować poszczególnymi resortami.

Nie podejmuję się odtworzenia wszystkich łamigłówek, jakie przyszło nam rozwiązywać, ani wszystkich rozmów, które odbyliśmy. To jest zadanie dla historyków, ta cała przy zszywaniu rządu płatanina szwów i ściągów, które często się pręły i trzeba było zaczynać od nowa.

- Odtwórzmy więc co się da. Zaczniemy od tych apetytów różnych partii. Czego żądała PZPR?

- Dużo, o ile pamiętam, pięciu lub sześciu tek. Oni wtedy jeszcze uważali się za kierowniczą siłę, która, jak należało się domyślać, „wypożycza” władzę, ale jej nie oddaje. Żądali mianowicie pozostawienia PZPR Ministerstwa Obrony Narodowej i Ministerstwa Spraw Wewnętrznych nie na zasadzie wejścia tej partii do koalicji lecz – bo tylko tak to można tłumaczyć – na zasadzie kontynuacji jej szczególnej pozycji. Dopiero inne resorty miały być objęte przetargiem koalicyjnym. Ponadto żądali tek ministerialnych: Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Ministerstwa Transportu, chyba Ministerstwa Współpracy Gospodarczej Z zagranicą i stanowiska podsekretarza stanu w URM odpowiedzialnego za administrację terenową. Ta skala żądań nas zaskoczyła, trochę

dlatego że wychodziła poza formułę „komunizmu szczątkowego”, która powstała jeszcze w 1980 roku i zostawiała PZPR wojsko; policję oraz sprawy zagraniczne. Pamiętam, że panował wśród nas taki nastrój: co sobie ten „czerwony” myśli? Moim zdaniem Mazowiecki zreżymował ograniczył zakres wpływów PZPR w swoim rządzie, a wkrótce potem te wpływy jeszcze bardziej zmaleły, bo partia się rozpadła.

- Gdzie się odbywały narady nad doбором kandydatów do rządu?

- Kiedy Mazowiecki został zaakceptowany przez Sejm jako premier, mógł wejść do gabinetu w Urzędzie Rady Ministrów. Opuściliśmy więc siedzibę „Tygodnika Solidarność” i przenieśliśmy się do gabinetu premiera. Oczywiście nie mieliśmy jakichś pomieszczeń do własnej dyspozycji tylko debatowaliśmy u premiera w pokoju wypoczynkowym. Stał tam mały niski stolik i kozetka, na której zwykle siedział, a czasem leżał Mazowiecki. Przy tym stoliku, przy donoszonej nam przez sekretarkę kawie, czasem przy butelce koniaku, zwykle kiepskiego, albańskiego, który miał nam rozjaśnić zmęczony późną nocą umysł, nicowaliśmy kolejne kandydatury. Ktoś rzucał nazwisko i pytał: „Może ten? Co o nim sądzicie?” Na moment zapadała cisza, a potem dana osoba była ostrzeliwana ze wszystkich stron i albo się wybroniła, albo odpadała. To trwało dziesiątki, dziesiątki godzin. Każdy był gruntownie wentylowany.

- Pomału zbliżamy się chyba do Balcerowicza?

- Stanowisko ministra finansów należało do strony solidarnościowej i było wiadomo, że ten resort będzie odgrywał rolę o wiele ważniejszą niż dotąd. Przesądził o tym wybór głównych kierunków polityki gospodarczej zawartej w

deklaracji politycznej premiera z 24 sierpnia. Miała to być polityka prowadząca do zerwania z systemem gospodarki komunistycznej i do walki z inflacją. Potrzebna była ekipa liberalna, daleka od lewicy, nawet tej z solidarnościowym rodowodem.

- Czyli Bugaj nie miał szans?

- Nie wiem, czy Bugaj, z którym przyjaźnię się od ćwierć wieku, miał ochotę na wejście do rządu. Szansy jednak nie miał, mimo że Mazowiecki bardzo go szanował i poważnie traktował jego opinie. Nie miał szansy nie tyle nawet ze względu na swój socjaldemokratyzm, ile ze względu na to, że był on zbyt jaskrawy, za mocno manifestowany, co sprawiało, że Rysiek był postacią wyrazistą, ale i kontrowersyjną. Tymczasem Mazowiecki, sam mając naturę polityka, który raczej łączy niż dzieli, dążył do stworzenia rządu, który będzie sprzyjał zespalaniu społeczeństwa, a nie jego dzieleniu. Bugaj miał też pomysł stworzenia, gdy chodzi o ekipę gospodarczą, rodzaju prowizorium złożonego z fachowców pełniących obowiązki ministrów. Mazowiecki odrzucał wszelką myśl o prowizorkach, chcąc dać powstającej III Rzeczypospolitej pierwszy rząd całkiem normalny. Bugajowi nie proponowano teki w rządzie.

- Powiedział Pan, że potrzebna była ekipa liberalna, a sam socjaldemokratyzm Bugaja nie przeszkadzał. Jak to pogodzić, czy wiedzieliście, czego chcecie?

- Wiedzieliśmy, czego chcemy, tylko wzrok mieliśmy wyczulony na nieco inne sprawy. Premierowi Bugaj nie pasował raczej od strony politycznej, mnie od strony ekonomicznej. Aczkolwiek uważam go za świetnego ekonomistę, to wtedy opierałbym się przed jego nominacją, bo byłem absolutnie przekonany, że

reprezentuje filozofię gospodarczą zupełnie nie pasującą do potrzeby chwili. Mówiąc tyle o Ryśku, mówimy oczywiście o kwestii sporu i wyboru między polityką liberalną i socjaldemokratyczną. Wtedy był czas liberałów.

- Czyli kogo?

- Powiedziałbym, że początkowo ciążyło na naszych poszukiwaniach takie nie wypowiedziane przekonanie, że szefem ekipy gospodarczej musi być ktoś o bardzo znanym nazwisku.

Sierpień dobiegał końca, a my nie mieliśmy nikogo na to kluczowe stanowisko. Rosła niecierpliwość, kiedy wreszcie ten rząd powstanie. Byliśmy coraz bardziej nerwowi. Od różnych ludzi przychodziły różne sugestie, w OKP powstał pod kierunkiem prof. Beksiaka zespół opracowujący program stabilizacji. Jacek Kuroń zaczął tworzyć zespół do ratowania gospodarki skupiający grono ekonomistów. Wśród członków tych zespołów nie było Balcerowicza. Jego nazwisko nie pojawiło się w żadnej propozycji. Wszyscy o nim zapomnieli, choć on w latach 1978-81 kierował grupą, która opracowała najlepszy wtedy projekt reformy gospodarczej, a więc wtedy, gdy jeszcze nie było cienia szansy na reformy, potrafił zebrać ludzi i pracować.

- Dla kogo robił ten projekt?

- Otóż to, dla nikogo, z poczucia potrzeby. W 1981 roku kupiła ten projekt sieć wiodących zakładów przemysłowych NSZZ „Solidarność”. To były argumenty przemawiające za nim: facet jest uparty, posiada wiedzę i umie stworzyć zespół. Przyspieszenie historii dopadło go w chwili, gdy pakował walizki. Złapałem go na dwa dni przed wyjazdem do Anglii. Jego nazwisko po raz pierwszy padło bodaj 30

sierpnia. Siedzieliśmy w gabinecie Mazowieckiego, próbując wyjść z impasu. Mazowiecki powtarzał, że musi znaleźć swojego Erharda. Sytuacja była do tego stopnia beznadziejna, że Tadeusz patrząc na mnie, powiedział w pewnej chwili: „Nie chciałbym cię tracić, ale jeśli nie będzie innego wyjścia, będziesz musiał to wziąć”.

- Poczul się Pan wyróżniony czy wystraszony?

- Wystraszony. Po siedmioletniej nieobecności byłem od miesiąca w Polsce. Czulem się niezbyt pewnie na nowym i niepewnym gruncie. Oczywiście, gdyby nie było nikogo, stuknąłbym obcasami i poszedł do Ministerstwa Finansów. Ponaglany jednak strachem przed możliwością objęcia tego saperskiego urzędu, zacząłem energicznie szukać i pomyślałem: Do diabła, dlaczego nie Balcerowicz? Cóż z tego, że jego nazwisko nie jest bardzo znane, czy to musi być ktoś ze świecznika? Powiedziałem Mazowieckiemu o Leszku. Przez chwilę nie pamiętał, kto to jest, więc go przedstawiłem i odpowiednio zarekomendowałem, podkreślając historię grupy Balcerowicza z 1981 roku i jej projektu reformy. Tadeusz, zbytniej nadziei sobie nie robiąc, powiedział: „Porozmawiaj z nim, ale sondażowo, nie mów o co chodzi, wybadaj go tylko”. Niewiele wiedziałem, co się działo z Balcerowiczem. Ważne było, że ma w biografii „Solidarność”, nie wiedziałem, jak było z jego przynależnością partyjną, toteż ucieszyłem się, że Balcerowicz wystąpił z partii po 13 grudnia.

- A gdyby nie wystąpił?

- Nie wchodziłby w grę. Od Marka Dąbrowskiego dowiedziałem się, że muszę szybko dzwonić, bo on się pakuje i wyjeżdża z rodziną do Anglii. 31 sierpnia

rano o godzinie 7.30 wykręciłem numer Balcerowicza. O 8.30 Leszek przyjechał do mnie do domu. Przekroczyłem instrukcje Mazowieckiego i powiedziałem, o co chodzi. On w pierwszej chwili się wystraszył i powiedział, że się absolutnie do tego nie nadaje, ma kłopoty ze snem, zdarzają się tygodnie, gdy nie może spać i jest wtedy do niczego. Może być co najwyżej doradcą. Odparłem: Ty to sobie przemyśl, a ja umówię cię z Mazowieckim. O godzinie 14 we trzech siedzieliśmy w gabinecie premiera. Z rozmowy widać było, że obaj panowie dobrze się rozumieją. Balcerowicz potwierdzał odmowę, a Mazowiecki zupełnie odkrył karty: „Potrzebny jest mi mój Ludwig Erhard. Będziemy walczyć z inflacją i przestawiać gospodarkę na normalne, wolnorynkowe tory. Czy Pan byłby gotów towarzyszyć mi w tej pracy?” Balcerowicz nadal odmawiał, ale wstrzymał wyjazd do Anglii. Wieczorem zadzwonił do mnie, że podjęcie decyzji odkłada do rana. O godzinie 23 zadzwonił Mazowiecki z pytaniem o Balcerowicza, mówiąc: „Zrób wszystko, żeby się zgodził”. Umówiłem się z Balcerowiczem w kawiarni „Na Rozdrożu” 1 września o godzinie dziewiątej rano. W kawiarni Balcerowicz powiedział, że prawdopodobnie się zgadza, prosił tylko o jeszcze jedno spotkanie z Mazowieckim, by mu powiedzieć o swych wadach, czyli o bezsenności i o PZPR. Powiedział: „Przychodzę nie na urząd, lecz na program antyinflacyjny”. O 17 odbył drugą rozmowę z Mazowieckim i się zgodził. Wkrótce minęła mu bezsenność.

- Czy premier Mazowiecki nie myślał, by Kuronia, wysuwanego przecież razem z nim na funkcję premiera, usatysfakcjonować stanowiskiem wicepremiera?

- Nie słyszałem, by Mazowiecki myślał o roli wicepremiera dla Jacka, choć

takie pomysły były, ale raczej wśród części członków OKP. To się wiąże z hiperinflacją, operacją szokową i J. Sachsem. Wróć jeszcze do tego, więc teraz krótko.

OKP powołał zespół do ratowania gospodarki, który miał opracować koncepcję szoku antyinflacyjnego. Kierował nim prof. Janusz Beksiak, a ważną rolę odgrywał Jeffrey Sachs. Równolegle powstał tam pomysł, żeby ten program stał się programem rządu i żeby nadzór nad jego realizacją sprawował Jacek Kuroń jako wicepremier w rządzie Mazowieckiego, a chyba Aleksander Paszyński miał być jego egzekutorem. Dowiedziałem się o tym pomysłe 31 sierpnia, w dwie godziny po pierwszej rozmowie z Balcerowiczem, która była oczywiście ściśle tajna. Jacek Kuroń był wtedy pod bardzo silnym wrażeniem szokowych propozycji Sachsa, bo czuł przez skórę ogromne zagrożenie związane z hiperinflacją. Mazowieckiemu wszystkie te zewnętrzne, robione poza nim próby ustawiania nie istniejącego jeszcze rządu i od strony programowej, i od strony kadrowej bardzo się nie podobały, co nie zmieniło faktu, że na samym Jacku niezmiernie mu zależało. Tak samo zależało na nim Balcerowiczowi, choć z nieco innego powodu. Drugiego września 1989 r. omawiałem z Balcerowiczem różne sprawy kadrowe. Leszek bardzo mocno wtedy opowiadał się za stanowiskiem ministra spraw socjalnych dla Jacka, mówiąc, że przy tłumieniu inflacji może dojść do niepokoїв społecznych i Kuroń będzie w takich sytuacjach najlepszym z możliwych buforem i negocjatorem.

Potem musiała być jakaś rozmowa Jacka z Tadeuszem, bo następnego dnia dostaliśmy z Balcerowiczem polecenie, by rozmawiać z Kuroniem, który od

rozmowy z Leszkiem uzależniał swoją decyzję. Rozmowa odbyła się u mnie w gabinecie. Porozumienie między Leszkiem i Jackiem było pełne, spotkali się na gruncie „szoku”, który jeden miał robić, a drugi osłaniać. Potem w gabinecie Mazowieckiego Jacek marudził i hamletyzował, chodził, łapał się za głowę, mówił: „rany boskie, co ja robię, to jest samobójstwo”. Zapalał papierosy, gasił, wreszcie kazał mi się odwieźć do domu, mówiąc po drodze, że jeszcze musi się zastanowić i łyknąć parę głębszych, ale wiedziałem, że już podjął decyzję, bo jak powtarzał: „nie można odmówić pomocy w potrzebie”.

W fortocy starego reżimu

- Trzy tygodnie zabrało Mazowieckiemu skompletowanie rządu. Kiedy wszedł na trybunę sejmową, by wygłosić expose i zaproponować skład rządu, zasłabł. Wezwano karetkę pogotowia.

- Trzy tygodnie, jakie minęły od jego desygnacji do expose wygłoszonego w Sejmie, to był okres bardzo ciężkiej pracy, żeby ten koalicyjny garnitur zszyć, żeby pogodzić sprzeczne interesy i ambicje, żeby rząd oparty był na jak najszerszej bazie politycznej. I jeszcze coś, nad Mazowieckim czasem może krąży Duch Świąty, za to ciągle – zły duch tytoniowy. Ile razy zaczynałem z nim współpracować, tyle razy zaczynałem palić. W oparach dymu, ścielącego się zwykle wokół niego, mało który palacz wytrzyma bez złapania za papierosa. Wtedy palił jeszcze więcej niż zwykle. Tytoń i zmęczenie wywołały kryzys na sali sejmowej.

- Co dziś przyciąga Pana uwagę w przemówieniu Mazowieckiego?

- Po pierwsze to, że w skrótovej, lapidarnej formie zawiera bardzo rozległy program przejścia do demokracji typu zachodniego i do kapitalizmu, chociaż te

słowa tam nie padają. Po drugie to, że zawiera przestrogi przed pokusą odwetu, tej zwyrodniałej formy wymierzania sprawiedliwości, która w ostateczności mści się na tych, którzy ją stosują. Po trzecie to, że kładzie silny akcent na rolę prawa jako podstawy ustroju, który będziemy budować. Prawo jest gwarantem wolności, widzimisę jednostki – jej zagrożeniem. Po czwarte to, że w expose jest ślad tamtego czasu. Mówi się o suwerenności, a nie o niepodległości, nie pada słowo prywatyzacja, lecz przekształcenia własnościowe, nie ma postulatu zniesienia cenzury, lecz wskazuje się na potrzebę jej ograniczenia. To były uniki taktyczne, które w parę miesięcy później wraz ze zmianą sytuacji w kraju i wokół nas zostały odrzucone. Premier kończył expose zdaniem, że „Bóg nam dopomoże, byśmy uczynili wielki krok na drodze, która przed nami się otwiera”. Niemal pół wieku musiało upłynąć, by imię Najwyższego pojawiło się znów na ustach szefa rządu Rzeczypospolitej. Mazowiecki opuszczał gmach Sejmu mając za sobą 402 posłów na 415 głosujących. Forteca starego reżimu była wzięta. Rząd zaczynał urzędowanie, wchodziliśmy w mało znany nam świat rządowych gabinetów, obyczajów, a także apanaży, choć zupełnie nie takich, jakie wyobraża sobie wielu ludzi w Polsce.

- Czy można się czuć oszołomionym rządowymi apartamentami?

- Jak ktoś jest w nich pierwszy raz i nie widział zagranicznych, to może tak. Ale przejdźmy się trochę po tych gabinetach. Gabinet premiera to ciąg apartamentów znajdujących się na I piętrze URM. Za przegrodzeniem z artystyczną kratą w kwiaty w drzwiach jest pokój sekretarek, z którego przez podwójne drzwi wchodzi się do gabinetu premiera. Jest to obszerny pokój, chyba z

60-70 m², za nim znajduje się korytarz przejściowy, a w nim po jednej stronie mieści się garderoba z szafkami, po drugiej – łazienka i przejście do pokoju wypoczynkowego, w którym stoi podłużny stół na 6 osób, w szafce są naczynia, kieliszki. Jest też stolik cocktailowy, telewizor odbierający telewizję satelitarną i magnetowid. W tym właśnie pomieszczeniu odbywała się większość narad dotyczących tworzenia rządu. Dalej jest pokój narad z okrągłym stołem, gdzie obradowało zwykle Prezydium Rządu, wreszcie sala zegarowa, w której premier przyjmował gości. Meble pochodziły z czasów Bieruta.

Przy biurku premiera był pulpit telefoniczny, nadający się do sklepu ze starociami, z jednym chrypiącym mikrofonem. Kiedy Mazowiecki rozmawiał telefonicznie z kanclerzem Kohlem czy prezydentem Gorbaczowem, tłumacz kładł mu się prawie na plecy, żeby mogli razem mówić do jednego mikrofonu.

- Podobno po objęciu urzędu Mazowiecki kazał usunąć ze swego biurka telefon do KC.

- Oczywiście. Dwunastego września 1989 roku KC przestało definitywnie rządzić Polską. Linia stała się martwa. Ale wróćmy do gabinetu.

Nad biurkiem premier powiesił rysunek przedstawiający Don Kichota, na szafie stała kolorowa plansza „Tygodnika Solidarność” wykonana przez dzieci, potem jeszcze znalazł się tam przedwojenny szyld z napisem „Sołtys” i z orłem w koronie, przestrelony przez żołnierzy rosyjskich podczas agresji 17 września 1939 roku. Mazowiecki tę tabliczkę pochodzącą z Polesia otrzymał od Polonii podczas podróży do Ameryki. Ta tabliczka spowodowała, że wchodząc do sekretariatu premiera pytałem: Czy jest sołtys? Co robi sołtys? Początkowo sekretarki były tym

trochę zażenowane, ale potem ksywa zaczęła się przyjmować. Premier miał najpierw dwie sekretarki, ale okazało się, że jest potrzebna jeszcze trzecia, bo praca trwała na trzy zmiany. Najdłuższy staż i najlepsze dojście do premiera miała Iwona Barańska, szefowa sekretariatu, którą nasi następcy szybko wyrzucili w ramach walki z nomenklaturą. Sekretarki rzeczywiście przejęliśmy po starych gospodarzach URM, ale były one bardzo dobre i sprawne, miały jeden defekt – nie znały języków obcych.

- A jak wyglądał Pański gabinet?

- Mój gabinet był naprzeciw gabinetu premiera i już sam ten fakt bardzo podnosił moją pozycję w całej centralnej biurokracji państwowej. Widywano też, jak prawie codziennie, zwykle po kilka razy, wędrowałem na przeciwko do premiera, spędzając tam dużo czasu. Administracja takie fakty widzi i one się liczą. Bardzo późnym wieczorem, czasem głęboką nocą moje wyjście z gabinetu Mazowieckiego było też sygnałem dla jego znudzonej obstawy, że zbliża się fajerant. „O, Pan Minister wychodzi, to Pan Premier też pewno idzie” – tak mawiali. W gabinecie urzędował przede mną Jacek Ambroziak, a wcześniej wicepremier Sekuła. Był to wielki pokój pokryty dywanem, po którym można było zrobić kółko rowerem. Miał też z 70 m², ale nie było wypoczynkowego zaplecza, co mi bardzo doskwierało. Umeblowanie standardowe: długi stół narad, stolik, kanapa, dwa fotele, szafa, telewizor z magnetowidem, jakieś dwa duże pejzaże na ścianach i ślad po trzecim, a w samej głębi gabinetu niezbyt rosłe biurko, a za nim niezbyt rosły minister. Przy biurku zestaw telefonów, pięć sztuk, w tym łączący bezpośrednio z premierem oraz nie dające się podsłuchiwać W-Cz, w którym głos

brzmiał jak z innej planety. Wymiana gabinetów następowała wtedy szybciej, niż zmiany w prywatnych notesach, a także w rządowej książce telefonicznej, więc zdarzały się następujące rozmowy:

- Czy to towarzysz Sekuła?

- Nie, to pan Waldemar Kuczyński.

- O, przepraszam, myślałem, że to numer pana Sekuły.

„Towarzysz” szybko odchodził w przeszłość. Bardzo zabawnie to zabrzmiało, gdy na którymś z posiedzeń Rady Ministrów prezes Baka zwrócił się w ten sposób chyba do samego premiera.

Nie pamiętam dnia, kiedy wszedłem do mego gabinetu po raz pierwszy, pamiętam za to moją pierwszą w życiu sekretarkę panią Anię Walerowicz, która na mój widok wstała i stojąc wyprostowana, pewno też stremowana, powiedziała: „Dzień dobry Panu, Panie Ministrze”. Pani Ania pracowała w URM od dawna, a ostatnio była sekretarką wicepremiera Koziola. Skierował ją do mnie długoletni szef kadr URM Chocholak, o którym niewiele wiem nad to, że wyglądał i śmiał się jak pomocnik diabła. Powiedział jej: „przychodzi tutaj Kuczyński, dobrze o nim mówią, więc pójdziesz do niego”. Widząc jak jest spięta, poprosiłem ją do gabinetu i powiedziałem: „Pani Anno, jestem kompletnie zielony jeśli chodzi o pracę w administracji i o panujące w niej zwyczaje, pani musi mi to wszystko pokazać i nauczyć mnie tego”. Bardzo mi potem pomagała, a dziś jesteśmy bliskimi znajomymi.

- Czy szybko się Pan zaaklimatyzował w URM?

- Nigdy do końca nie poznałem tego budynku, nigdy nie obszedłem jego

wszystkich zakamarków, aż do odejścia sprawiał na mnie wrażenie tajemniczego wnętrza piramidy. Długie korytarze i rzędy drzwi po obu stronach, a za tymi drzwiami niezrozumiały szmer biurokracji państwowej, nieznani ludzie kłaniający mi się nieraz z widocznym śladem podlizywania się – peszyło mnie to, czułem się obco i do końca to uczucie mi towarzyszyło. Myślę, że my wszyscy nowi czuliśmy się w URM jak innego gatunku rośliny zaszczerpione na czubku potężnego drzewa.

Przez długie miesiące towarzyszyło mi uczucie, że to co robię to teatr, „Alicja w krainie czarów”, fikcja. Trudno było uwierzyć w to, że naprawdę mamy władzę i wpływamy na życie 40 mln ludzi w środkowej Europie. Było jakby dwóch Kuczyńskich, jeden stał i przyglądał się, jak drugi odgrywa spektakl polityczny.

- Zawrót głowy?

- Nie wiem, choć byli tacy, którzy mogli dostać zawrotu głowy od skoku wykonanego znacznie wyżej niż ja, choćby Balcerowicz, ten dopiero wykonał skok, jeśli mierzyć posady ciężarem odpowiedzialności. Owszem, zrobiłem skok, ale byłem w końcu tylko doradcą sapersa, radziłem mu, co ma robić, a potem on już sam musiał tę minę rozbijać. To jest różnica, poczułem ją, gdy zostałem ministrem.

- Mówił Pan, że w swojej pracy korzystał z opinii osób z zewnątrz.

- Tak, początkowo myślałem nawet o stworzeniu zespołu o mniej więcej stałym składzie, który by się spotykał co jakiś czas i dyskutował problemy, którymi rząd się aktualnie zajmował lub powinien się nimi zająć w najbliższym czasie. Zrobiłem pierwszy krok, organizując 21 października naradę poświęconą ocenie pierwszego miesiąca pracy rządu.

- Kogo Pan na nią zaprosił?

- Według spisu, który sobie zachowałem, na naradę przyszli: prof. Janina Zakrzewska, Karol Modzelewski, Stefan Bratkowski, prof. Stefan Amsterdamski, doc. Mirosław Marody, doc. Antoni Leopold, mecenas Jan Olszewski, prof. Stefan Kurowski, Andrzej Celiński. To zebranie było pomyłką, bo większość spośród tych światłych osób przyszła do URM, by wylać nam na głowę kubel żalów i pretensji pod adresem rządu. Spodziewałem się od nich spokojnej oceny sytuacji, nowych pomysłów, propozycji, tymczasem ich wypowiedzi były wręcz atakami nadającymi się do opozycyjnych gazet. Nigdy więcej takich spotkań nie było.

-Poczuł się Pan dotknięty krytyką?

- Tu nie chodziło o obrażanie się, ale o to, że spotkanie – poza stresem, jaki przeżyłem – nic nie dało. To jest incydent, nad którym warto się zatrzymać dla dobra dalszej współpracy intelektualistów z politykami, z rządem. Byliśmy wtedy u władzy czterdzieści dni, ucząc się jeszcze elementarza tej profesji i równocześnie mając na głowie walący się budżet i w ogóle gospodarkę. Dopiero teraz widzę, w jak wielkim działaliśmy napięciu i stresie. I w takim momencie grono wybitnych osób, znajdujących się w stosunkowo wygodnej sytuacji, tonem sejmowych debat zgłasza pretensje, że nie zdążyliśmy jeszcze zrobić prawie wszystkiego i ma do zaproponowania wiele ogólnie słusznych rad. Nie wszystkie głosy były takie, ale większość i tylko mecenas Jan Olszewski nawoływał do opamiętania. „Pamiętajcie, na Boga, że oni są dopiero niespełna półtora miesiąca u władzy”. Ze spotkania został sporządzony stenogram i synteza dla premiera. Tadeusz po jej przeczytaniu poirytowany powiedział: „To, co oni mają mi do powiedzenia i zaproponowania, sam wiem. Nie podsuwaj mi na przyszłość takich rad”. Istotnie, to co nam

powiedziano, czytaliśmy w prasie albo w materiałach leżących na naszych biurkach.

- Dlaczego ludzie władzy tak alergicznie reagują na krytykę?

- Muszę powiedzieć, że nie spotkałem dotąd osoby, która reagowałaby na krytykę entuzjastycznie. Ci, którzy rządzą, są przecież normalnymi ludźmi. Zwykle mają na głowie jednocześnie dziesiątki spraw, są zmęczeni naradami, wizytami, lekturą dokumentów, po prostu przeciążeni pracą. I to wcale nie jest alergia na krytykę, a po prostu często – nie mówię, że zawsze – reakcja obronna przeciążonego człowieka przed paraliżem działania. Każdy, kto bierze się za doradzanie ludziom władzy, musi pamiętać, że premier czy minister przeżywa ogromne napięcia psychiczne, podejmując decyzje dotyczące milionów ludzi i tylko wtedy skorzysta z rad, gdy będą one umiejętnie przekazane, to znaczy tak, że nie spowodują dodatkowych napięć, tylko osłabią już istniejące. W przeciwnym wypadku następuje odruch samoobrony i odrzucenia tego, co mówi doradca.

- W trosce o komfort psychiczny szefa należy prawić mu wyłącznie komplementy?

- Doradca czy w ogóle podwładny, który notorycznie wpędza szefa w stres lub ten stres pogłębia, prędzej czy później wylatuje z posady i nie jest to wina szefa tylko doradcy. Dobry doradca nigdy nie powinien zapomnieć o komplementach dla szefa, gdy on na to zasłużył. Zarazem powinien zawsze mieć na uwadze, by to co ma do powiedzenia, co powinien i co musi powiedzieć, jak najmniej pogłębiało przeciążenie psychiczne zwierzchnika. Chodzi o skuteczność jego działania i o skuteczność doradzania. Trzeba wiedzieć, kiedy z jaką sprawą wejść. Gdy szef ma

nadmiar spraw na tapecie, nie wolno dokładać następnych, jeśli mogą poczekać. Nigdy nie należy ograniczać się tylko do sygnalizowania, że jest jakiś problem, trzeba mieć od razu propozycję jego rozwiązania i to dosyć konkretną, bo praca rządu jest konkretna.

- Pan zawsze umiał podsuwać premierowi gotowe rozwiązanie problemu?

- Nie. To co mówię, jest także oparte na popełnionych przeze mnie błędach.

Na szczycie, gdzie się podejmuje decyzje o wielkiej wadze, człowiek jest samotny i potrzebuje osoby lub osób, które ułatwiają dźwiganie odpowiedzialności. Sądzę, że moja obecność wpływała na komfort psychiczny i poczucie bezpieczeństwa premiera. Po paru wypadkach wiedziałem, kiedy szefowi można podsunąć dodatkowy problem. Często mnie molestowano:

- Mówiłeś szefowi o mojej sprawie? - Nie.

- Dlaczego, przecież się z nim widziałeś?

Moi rozmówcy nie zawsze rozumieli, że wprawdzie byłem u premiera, ale nie znalazłem w nim szczeliny psychicznej, w którą mógłbym mu wcisnąć dodatkową informację. Potem już jako minister zauważyłem, że przy przeciążeniu pracą pewna ilość spraw do mnie nie docierała. Mogę sobie wyobrazić sytuację, kiedy mówię premierowi, że w Skierniewicach wybuchła bomba atomowa, a on mi automatycznie odpowiada: daj spokój, pogadamy o tym jutro. To jest oczywiście ponury żart, ale obrazuje stan ducha człowieka pracującego pod ogromnymi obciążeniami.

- Jak wyglądał Pański dzień pracy?

- Przychodziłem do pracy na wpół do dziesiątej, nie zapominając powiedzieć

na dzień dobry moim Aniom – druga sekretarka też miała na imię Ania – paru miłych słów. Sekretarki wiedziały, że należy mi zamówić kawę i za chwilę zjawiała się kelnerka ze stołówki urmowskiej i przynosiła mi kawę, a do tego jakieś ciasteczka. Najbardziej lubiłem małe bezy. Podawano je także na posiedzeniach Rady Ministrów, więc objadałem swoich sąsiadów ministrów.

- Czy o śniadanie też mógł Pan poprosić?

- Tak, z tym, że za śniadanie musiałbym zapłacić, natomiast kawa z ciasteczkami była bezpłatna i w nie ograniczonych ilościach. To był rodzaj pracowniczego deputatu. Ponadto codziennie rano na okrągłym stoliku zastawiałem dwie butelki coca-coli, butelkę toniku albo wody mineralnej oraz trzy jabłka na tacy z nożykiem do obierania. Czasem zamiast jabłek były gruszki, w sezonie truskawkowym – truskawki. Rozpoczynałem dzień od picia kawy i przeglądania prasy oraz materiałów informacyjnych leżących już na biurku. Najpierw był rzut oka na pierwszą stronę „Gazety Wyborczej”, potem lektura „dysoru” o wydarzeniach z ostatnich 24 godzin w kraju. Sekretarka wiedziała, że nie należy mnie z nikim łączyć z wyjątkiem premiera. Premier, który jest wzorcowym nocnym markiem, przychodził do pracy później. Mazowiecki siedział zwykle do późnej nocy, a zbudzony o 9 rano przedstawiał widok godny pożałowania, za to o pierwszej w nocy, gdy cała Rada Ministrów padała na pysk, premier był świeży jak skowronek o poranku. Zdarzało się, że miałem pilne sprawy, gdy jeszcze go nie było w biurze, wtedy dzwoniłem do sekretarki i pytałem, w jakiej fazie jest szef. Sekretarka, która zwykle już dzwoniła do willi przy Parkowej, gdzie Mazowiecki pomieszkiwał, odpowiadała na ogół, że szef jest jeszcze w fazie „horyzontalnej”,

czyli że leży w łóżku. „Czy mam go pionować?” – pytała. Machałem ręką, jak tylko sprawa mogła poczekać. Mazowiecki „spionowany” na siłę nie nadawał się do rozmów o sprawach państwowych.

Kiedy kończyłem lekturę, do gabinetu przychodziła sekretarka, otwierała swój zeszyt i mówiła, kto dzwonił, a ja decydowałem: tego ignorujemy, tego na jutro umówić, o tym proszę mi przypomnieć w przyszłym tygodniu, a z tym się łączymy natychmiast. Następnie przeglądałem teczki ze sprawami, przekazując je do załatwienia moim pracownikom lub odpowiednim komórkom URM. Potem następowała druga część dnia pracy, czyli przyjmowanie wizyt. Przychodzili ludzie biznesu, przedstawiciele zagranicznych delegacji rządowych, dziennikarze. Część tych spotkań brali na siebie moi współpracownicy, część należała do moich obowiązków. Rozmowy były często sondażowe lub kurtuazyjne. Niewiele z nich wynikało bezpośrednio – jako doradca nie podejmowałem decyzji – ale wykreścić się od nich nie było można, by nie popsuć kontaktów.

Potem znów były telefony albo narady, trwające godzinami posiedzenia Rady Ministrów, KERM, Sztabu Interwencyjnego. Nagle dzwoniła sekretarka, mówiąc: „Czy mój szef nie zjadłby czegoś, bo za kwadrans zamykają stołówkę i znów zostanie bez obiadu?”

Terapia szokowa

- Co najbardziej zaprzętało premiera w pierwszych tygodniach urzędowania?

- Piątego września znalazłem na biurku Mazowieckiego pismo od ówczesnego prezesa Narodowego Banku Polskiego zawiadamiające, że budżet

wykorzystał kredyt w NBP przyznany mu przez Sejm i że bank wstrzymuje dalsze kredytowanie państwa. Wyплаты dla milionów ludzi opłacanych z budżetu wisiały na włosku...

- Pan grzebał premierowi po biurku?

- W biurku nigdy, po biurku bardzo często, na ogół przed jego przyjściem do pracy, zwykle razem z sekretarką. Mazowiecki nie ma nawyków urzędniczych i nie lubi urzędniczenia. Pracę zaczynał od czytania prasy i innych materiałów informacyjnych, co zajmowało mu sporo czasu, bo nie udało się go skłonić do poprzestania na krótkich relacjach. Różne zajęcia i niechęć do przeglądania papierów sprawiały, że na biurku premiera rósł stos teczek ze sprawami wymagającymi jego decyzji. Kiedy on sam zaczynał niebezpiecznie znikać za tym stosem, wkraczałem ja, czasem Ambroziak i selekcjonowaliśmy materiały, usuwając przestarzałe informacje i zabierając dokumenty dotyczące spraw, które niepotrzebnie trafiły do premiera.

- Dlaczego sprawy, których nie musiał załatwiać premier, trafiały do niego?

- Szefem gabinetu premiera, a więc selekjonerem przedkładanych mu spraw był sprawny urzędnik ze starej ekipy, który jednak nie znał premiera i nie czuł, co powinien mu dawać, więc dawał ponad potrzebę. W pewnym momencie postanowiliśmy, że teczki do premiera po pierwszej selekcji w gabinecie będą trafiały do mnie, do drugiej selekcji. Od czasu do czasu przygotowywałem też opasły plik spraw i niemal zmuszałem Tadeusza, by usiadł ze mną przy stoliku, a potem podsuwałem mu sprawy jedną po drugiej, krótko je referując i sugerując decyzję. Nie przypominam sobie jednak ani jednej sprawy o naprawdę dużej wadze

państwowej, którą Mazowiecki by przeoczył czy zlekceważył.

- Czyli pisma prezesa NBP nie zlekceważył?

Wtedy mógł jeszcze rzeczywiście nie widzieć dość ostro politycznych niebezpieczeństw hiperinflacji. Bardziej obawiał się jakichś nierozważnych działań gospodarczych, które mogłyby zniszczyć dokonujące się zmiany. Bał się, żeby takie fiasko nie zatrzymało pozytywnego rozwoju sytuacji w ZSRR. Ten czynnik, żeby źle nie wpłynąć na ewolucję zachodzącą u wschodniego sąsiada, był zawsze bardzo ważny w kalkulacjach premiera, a szczególnie w pierwszych miesiącach. Nie oszukujmy się, to co stało się w Polsce i łąka chwila miało się zacząć w całej centralnej Europie, było w znacznej mierze następstwem wydarzeń, które zapoczątkował Gorbaczow.

- Czy to nie działało na premiera paraliżująco w sprawach gospodarczych?

- W ostateczności nie, bo to przecież Mazowiecki wybrał Balcerowicza i to w określonym celu. Kiedy mówił, że szuka swojego Ludwiga Erharda, to dlatego że wiedział, iż coś podobnego trzeba u nas zrobić – zdusić inflację i uzdrowić pieniądź. Ale były momenty, kiedy miałem wątpliwości, czy Tadeusz pójdzie na „operację szokową”. Bardzo mocno podkreślał, że trzeba najpierw wytworzyć w społeczeństwie klimat przyzwolenia dla takiej operacji, tylko że, niestety, miał na to mało czasu.

- Jakich nierozważnych działań gospodarczych obawiał się Mazowiecki?

Czy to miało coś wspólnego z obecnością profesora z Harvardu Jeffrey'a Sachsa, który pojawił się wtedy w Warszawie?

- W pewnym stopniu tak. Jeff przyjechał do Polski 18 czerwca 1989 roku,

towarzysząc Georgowi Sorosowi, amerykańskiemu finansistcie pochodzenia węgierskiego, który finansuje Fundację Batorego, i który zapewne skłonił go do tej wyprawy. Soros przyjechał z planem reformy gospodarki polskiej zwanym „planem Sorosa”. To była kombinacja „szokowej” operacji antyinflacyjnej z restrukturyzacją naszych firm, z których część miała być oddana zagranicy za długi, a same długi miały być poważnie zredukowane.

- A kim jest Sachs? Czy pan go zna?

- Jeff to nie jest byle kto. Należy do światowej czołówki ekonomistów młodszej generacji, jest świetnie wykształcony, ma praktykę w doradzaniu rządowi, potrafi przekonywać, a nawet budzi entuzjazm, ale dla niektórych jego pewność siebie może być podejrzana i wyglądać na bufonadę, a jego zachowanie publiczne na reklamiarstwo. Jest też kontrowersyjny w świecie finansów, bo nawołuje do niepłacenia długów przez kraje dłużnicze. Słowem, jest to postać barwna, nietuzinkowa. Spotkałem go przelotnie w Paryżu w Szkole Wyższych Studiów Społecznych, gdzie pracowałem. Gdy odwiedziłem pewnego dnia Irenę Grosfeld, żonę Aleksandra Smolara, zauważyłem, że przy sąsiednim biurku siedzi młody facet pochylony nad wzorami matematycznymi. Powiedzieliśmy sobie zdawkowe „hallo”, a Irena określiła go jako młodego wilka ekonomii. To wszystko. On wrócił do swej światowej kariery, a ja do swego skromnego życia emigranckiego.

- Dlaczego Soros tak bardzo interesował się Polską?

- Zastanawiałem się nad tym, gdy w połowie września rozmawiałem z nim w hotelu Europejskim, aranżując audiencję u Mazowieckiego. Mogę się oczywiście mylić, ale miałem wrażenie, że głównym obiektem zainteresowania Sorosa nie była

Polska, lecz Związek Radziecki, a jego plan dla Polski miał być eksperymentem, przeciwieniem drogi od gospodarki planowej do rynkowej, którą mógłby powtórzyć następnie Związek Radziecki. W każdym razie jego plan i myślenie o sprawach nadwiślańskich były fragmentem bardziej rozległej koncepcji nieeksplozyjnego zdemontowania komunizmu na całym obszarze od Władywostoku po berliński mur. Polska, jak mi się wydawało, miała być tą małą piramidą, którą egipscy budowniczowie budowali na próbę, zanim przystąpili do głównej roboty. Przyznam, że rola królika doświadczalnego urażała moją dumę narodową, ale po chłodnym zastanowieniu się dostrzegłem spore pole zgodnych interesów.

- Co w tym czasie robił Sachs?

- Rozwijał natarcie. Jeszcze 11 lipca, gdy nikomu nie śniło się o rządzie Mazowieckiego, zrobił duże wrażenie na posłach OKP, prezentując koncepcję zduszenia inflacji jednym ciosem. W dwa tygodnie później (28 lipca) przedstawił, wraz ze swym współpracownikiem Dawidem Liptonem, „Zarys programu gospodarczego «Solidarności»”, będący skokiem w gospodarkę rynkową oraz propozycję powołania komisji zadaniowej, która przygotowałaby szczegóły. Pod koniec sierpnia rozgłos jego koncepcjom nadała „Gazeta Wyborcza”, publikując artykuły: „Czy Sachs powtórzy sukces Grabskiego?” (23.08.1989 r.) i „Plan Sachsa” (24.08.1989 r.).

- Jak na to reagował Mazowiecki?

- Bardzo niechętnie, nie tyle na samą akcję reklamową wokół „szoku” i Sachsa, ile na działania wychodzące z OKP, które wyglądały na wciskanie mu

programu i osób. Już o tym mówiliśmy. Pracująca od jakiegoś czasu z Sachsem grupa polskich ekonomistów została w końcu sierpnia uformowana w Zespół Ratowania Gospodarki. Temu zespołowi, na czele którego stanął profesor Janusz Beksiak, Prezydium OKP powierzyło 1 września 1989 roku opracowanie koncepcji programu stabilizacji i przekształceń systemowych.

- *Kto wchodził w jego skład?*

- Oprócz Beksiaka: Tomasz Gruszecki, Cezary Józefiak, Jacek Kuroń, Jacek Merkel, Aleksander Paszyński, Jan Szomburg (liberał z Gdańska) i Jan Winiecki (makroekonomista, później w zespole doradczym Wałęsy). W ostatniej chwili dołączono mnie, o czym dowiedziałem się 30 sierpnia. Sądzę, że znalazłem się tam ze względu na bliskość z Mazowieckim. Nie brałem udziału w pracach tego zespołu, który wraz z gronem osób dodatkowo zaproszonych przygotował w ciągu miesiąca interesujący „Zarys programu stabilizacyjnego”. Był on w założeniu początkowym propozycją dla rządu, ale kiedy się ukazał, sprawy poszły innym torem.

- *A Sachs?*

- Dwudziestego piątego sierpnia, kiedy byłem w Kaliszu zajęty pogrzebem mamy, Mazowiecki przyjął Sachsa, który zostawił po sobie nie najlepsze wrażenie. To są ludzie o zupełnie różnym rytmie pracy i typie refleksji. Mazowiecki pracuje wolno, ale solidnie, natomiast Sachs sypie pomysłami z szybkością serii karabinu maszynowego. Mazowiecki nie miał zaufania do człowieka, który nie znał Polski, jej realiów, a wypowiadał się tak kategorycznie. Sachs to chyba wyczuł, bo zwrócił się z prośbą o spotkanie ze mną, na co się zgodziłem. Myślę, że szukał drogi

wzmocnienia swej wiarygodności u premiera.

- *A czy by ją u Pana znalazł?*

- Nie tylko by znalazł, ale znalazł. Myślę, że rozproszyłem część obaw Mazowieckiego co do Sachsa, wystawiając mu „świadcstwo powagi”. Tadeusz nie jest ekonomistą i moje opinie w tej dziedzinie, także personalne, często przesądzały o sprawie.

- *Czy Pan się spotkał z Sachsem?*

- Tak, na chwilę, to było chyba u Balcerowicza na SGPiS. Sachs wszedł, przywitał się ze mną, a ja powiedziałem, że sytuacja się w międzyczasie zmieniła i teraz osobą właściwą do rozmowy z nim jest obecny tu Leszek Balcerowicz. Sachs był zaskoczony, Balcerowicza w ogóle nie znał, chyba myślał, że odsyłam go do jakiegoś doradcy. Zostawiłem ich samych. To było czwartego września.

- *Jakie wrażenie Sachs zrobił na Balcerowiczu?*

- Bardzo dobre, wtedy nalegał na jak najszybsze wysłanie listu do Funduszu Walutowego o przysłanie misji do negocjowania programu stabilizacji. Wydaje mi się, że zauroczył Leszka, myślał podobnie jak on, był bardzo pewny siebie, miał macki sięgające na Zachód. To wszystko musiało być Balcerowiczowi bardzo pomocne w czasie jego „prywatnego szoku”, kiedy został kandydatem na wicepremiera. Ale po paru dniach oczarowanie ustąpiło trzeźwemu spojrzeniu. Balcerowicz cenił Sachsa, wysłuchiwał jego rad i korzystał z nich, ale nie sądzę, by dał się mu sterować. Opinie o tym demonicznym Sachsie, który wszystkim sterował, są bzdurą, wynikającą z nieznajomości faktów albo ze złej woli. Jeff zrobił dla Polski wiele dobrego. Propagował nasze reformy za granicą, bronił

naszych racji i interesów, powtarzał bez przerwy, że Polsce trzeba zredukować długi, bo zasłużyła na to wielkim wysiłkiem przy stabilizowaniu gospodarki. Nigdy niczego nie dyktował, ale wiele jego szczegółowych rad wzięto pod uwagę.

- Bardzo daleko odeszliśmy od trosk premiera w pierwszych tygodniach?

- Tak, ale wyczerpaliśmy w zasadzie „prehistorię szoku antyinflacyjnego”. Pisanie historii właściwej zaczynał już wtedy Leszek Balcerowicz, biorąc całość spraw w swoje ręce. Balcerowicz miał dwie kwatery: w Ministerstwie Finansów i w Urzędzie Rady Ministrów. Na ulokowanie się Leszka w URM Mazowiecki początkowo kręcił nosem, ale mu to przeszło, natomiast przez cały czas patrzył nie najlepszym okiem na KERM. Zgodził się z życzeniem Balcerowicza, żeby zostawić KERM, który miał służyć Leszkowi jako narzędzie koordynacji działań ministrów gospodarczych. Mazowiecki natomiast obawiał się, żeby ten organ nie zaczął nabierać charakteru rządu w rządzie i przy każdej okazji zwracał uwagę, by w relacjach z KERM nie podawano, że podjął on decyzje, bo nie było to ciało decyzyjne lecz konsultacyjne.

- A czy przejawiało skłonności do dominowania nad Radą Ministrów?

- Sam KERM nie miał takich skłonności, miał je natomiast Balcerowicz, nie tyle może ze względów czysto ambicjonalnych, jakiejś zachłanności na władzę, ile z zapału do przeforsowania własnych koncepcji. Doprowadziło to w połowie grudnia 1989 roku do krótkiego, lecz bardzo ostrego konfliktu z Mazowieckim. Dojdziemy do tego. Balcerowicz ruszył ostro. Przed sobą miał dwie pilne sprawy: natychmiastowe podparcie walących się finansów państwa i przygotowanie zarysu programu reform, który miał być przedstawiony w Waszyngtonie na dorocznym

zebraniu Funduszu Walutowego 26-28 września. Było jasne, że poprosimy o przysłanie misji, która zawarłaby porozumienie dotyczące asystowania przez Fundusz Walutowy naszym reformom.

Balcerowicz zrobił doskonałe wrażenie. Dżentelmeni z Funduszu Walutowego zobaczyli, że z nadwiślańskiej tajgi przyjechał gość wyglądający jak oni, mówiący jak oni i myślący nie gorzej niż oni. Piętnastego października misja Funduszu Walutowego przybyła do Polski.

- Przerwijmy na chwilę ten wątek i wróćmy do katastrofy budżetowej.

- Jak już mówiłem, na początku września NBP zawiadomił rząd o wstrzymaniu kredytowania budżetu. Kasa państwowa była wylizana do czysta, z wielką dziurą w środku.

- Rakowski przepuścił pieniądze?

- Tak powiedzieć nie można, ale niektóre decyzje jego rządu uruchomiły katastrofę. Po pierwsze, urynkowanie cen żywności od 1 sierpnia 1989 r. – słuszna decyzja przewidziana przy „okrągłym stole”, duży krok ku gospodarce rynkowej, której to decyzji nie odwołaliśmy – prowadziło jednocześnie do jeszcze większego kroku w hiperinflację. Kiedy rząd Rakowskiego uwalniał ceny żywności, był on już martwy politycznie. Nowy gabinet próbował wówczas tworzyć Kiszczak. Rakowski nie miał żadnych szans i nawet tego nie próbował, żeby równocześnie zatrzymać wzrost dochodów i płac. Tylko pod tym warunkiem można było uniknąć przy urynkowaniu żywności przekształcenia się wysokiej już wcześniej inflacji w hiperinflację. Ceny w sierpniu wzrosły o 48%, w przeliczeniu rocznym inflacja przekroczyła więc wtedy 7000%.

- W takim razie wysoko wzrosły dochody przedsiębiorstw, a zatem i podatki, skąd więc katastrofa?

- Przedsiębiorstwa nagminnie zaczęły wstrzymywać i opóźniać płacenie podatków, bo przy takiej inflacji (we wrześniu ceny wzrosły o dalsze 34%) płacąc tę samą sumę dwa tygodnie później, płaciło się faktycznie kilkanaście procent taniej. Dochody z podatków leciały na łeb na szyję, to po pierwsze, a po drugie, wydatki państwa wcale nie malały, tylko lawinowo rosły. I tu dochodzimy do drugiej decyzji rządu Rakowskiego, która przyspieszyła inflację. W styczniu Sejm uchwalił ustawę, która zobowiązywała rząd do podniesienia w 1989 roku przeciętnych płac w sferze budżetowej do 97% przeciętnej płacy w sferze produkcji. Na dodatek strona solidarnościowa wywalczyła przy „okrągłym stole” wprowadzenie powszechnej, automatycznej indeksacji zarobków w sferze produkcji według współczynnika 0,8, to znaczy, że jeżeli ceny wzrosły o 10%, to płace musiały być podniesione o 8%. Na ogół robiono to bez brania pod uwagę, czy w danej fabryce w ostatnim kwartale dokonywano jakichś podwyżek, czy nie. Otóż jak pamiętamy, wiosną i latem 1989 roku wiele załóg przy pomocy strajków wymuszało podwyżki, potem jeszcze te załogi otrzymywały rekompensatę wynikającą z indeksacji. Płace nominalne w sferze produkcji rosły więc bardzo szybko, a do tego ustawa zobowiązywała rząd do poprawiania relacji płac w sferze budżetowej do płac w sferze produkcyjnej, co zwiększało eksplozję wydatków. Były jeszcze inne rodzaje indeksacji, które tę katastrofę pogłębiły.

- Z tego co Pan mówi, wynika, że ustalenia „okrągłego stołu” też się do niej przyczyniły?

- Niewątpliwie. Strona solidarnościowa zasiadała przy „okrągłym stole” wiedząc, że to jest początek wielkich przemian, ale nie przypuszczając, że za parę miesięcy przyjdzie jej rządzić. Przemiany wyobrażała sobie jako kontynuację procesu przerwanej 13 grudnia 1981 roku i jej sposób myślenia – w każdym razie w sprawach gospodarczych – był taki, jakby nie było tych ośmiu lat, które minęły, jakby towarzystwo zastygłe przy jakimś stole zimą 1981 roku zostało odczarowane przez wróżkę i wróciło do przerwanej rozmowy. Indeksacja, czyli dodatek drożyzniowy, samorząd pracowniczy i jego uprawnienia wobec dyrektorów, praca górników w wolne soboty oraz wiele innych ówczesnych zapisów to były potężne kłody na drodze zmian gospodarczych, które Balcerowicz musiał usuwać.

- Mówił Pan, że Balcerowicz zaczynał od usuwania przeszkód wynikających z ustaleń „okrągłego stołu”.

- Tak. Jedną z pierwszych naszych inicjatyw było zastąpienie indeksacji automatycznej tak zwaną indeksacją wyrównawczą. Chodziło o to, żeby załogi, które w trakcie kwartału dostawały podwyżki w wyniku własnych uzgodnień z dyrekcją, nie dostawały rekompensat po raz drugi. Już w sześć dni po zatwierdzeniu rządu obradowała nad tym Rada Ministrów, natomiast głównym tematem pierwszego posiedzenia nazajutrz po zatwierdzeniu rządu był budżet, a właściwie prowizorium budżetowe na październik. We wrześniu rząd działał w oparciu o prowizorium budżetowe uchwalone przez Sejm dla rządu Rakowskiego, bowiem w końcu sierpnia 1989 roku nowy Sejm odrzucił projekt rewizji budżetu przedłożony przez rząd Rakowskiego, w którym to projekcie proponowano obcięcie wydatków i zwiększenie skali deficytu budżetowego. Balcerowicz nie mógł oczywiście w ciągu

paru dni przygotować nowelizacji ustawy budżetowej. W tym jego prowizorium widać już było pewne posunięcia hamujące i zwiększające dochody budżetu państwa. Zostało ono złożone w Sejmie w dziesięć dni po objęciu przez niego urzędu. Następnie trzeba było przygotować rewizję budżetu do końca roku, do tego doszły pierwsze podwyżki cen urzędowych, pierwsze likwidacje dotacji...

W tym czasie sztab Balcerowicza pospiesznie przygotowywał program gospodarczy. Piątego października Rada Ministrów upoważniła Leszka do zapoznania prasy z jego założeniami, co nastąpiło następnego dnia podczas konferencji prasowej.

- I tak powstał plan Balcerowicza?

- Nie wiem, kto po raz pierwszy użył tego określenia. Zauważyłem je kilka tygodni później w artykule Jankowiaka w „Gazecie Wyborczej”. Przyznaję, że początkowo patrzyliśmy na ten dźwięczny i jakże dziś znany kryptonim z rezerwą, wyodrębniał on bowiem balcerowiczowski segment z reszty rządu i nadawał rządowej przecież polityce nazbyt autorskie zabarwienie. Balcerowicz ma oczywiście prawo do autorstwa tej polityki jako szef ekipy gospodarczej i egzekutor programu, mógł jednak to zrobić jedynie jako członek gabinetu mający poparcie rządu oraz premiera.

Jak się układały stosunki pomiędzy premierem a Balcerowiczem?

- Ze strony Mazowieckiego zaczęło się od bardzo dobrego wrażenia, do którego szybko dołączyły napięcia, chwilami przechodzące w konflikt. Ale były też całe miesiące harmonii, wszelako bez zażyłości, a pod koniec duży chłód. Trudniej mi powiedzieć, jak to było ze strony Balcerowicza. Chcę jednak dodać, że Tadeusz

od samego początku miał respekt dla talentów Leszka, a także dla jego pracy. Liczył się z jego zdaniem i nikt nie miał szans na uzyskanie jakichkolwiek ważnych zobowiązań w sprawach gospodarczych zanim on sam nie poznał zdania Balcerowicza.

- Co powodowało napięcie między premierem i Balcerowiczem?

- Premier chciał bliskiej bieżącej współpracy, tego, żeby Balcerowicz informował go, wyjaśniał mu i uzgadniał z nim swoje posunięcia. Nie chciał być zaskakiwany, a wyjątkowo źle znosił wszystko, co mogło stawiać pod znakiem zapytania jego rolę jako rzeczywistego szefa całego rządu. Oczywiście zadrażnień z Balcerowiczem nie chciał, kosztowały go dużo nerwów, a po jednej z najostrożniejszych sytuacji konfliktowych tłumaczył mu mniej więcej tak: „Panie Leszku, ja nie chcę pana krępować, ani zmieniać zasadniczo programu gospodarczego. Wiem, że jest konieczny i wiem jaki jest trudny, ale ja lubię trudne przejścia, chcę tylko, żebyśmy robili to razem.” Myślę, że napięcia mogły też wynikać z różnego stylu i rytmu pracy Mazowieckiego i Balcerowicza. Balcerowicz był na pewno niezmiernie zapracowany i mógł nie mieć czasu na odbywające się w wolniejszym rytmie narady z premierem. Na każdej z nich dosyć szybko zaczynał nerwowo patrzeć na zegarek, co nie znaczy bynajmniej, że sam był mistrzem w gospodarowaniu czasem.

- A jakie były stosunki między Balcerowiczem a Panem?

- Były one w pewnym sensie odbiciem stosunków pomiędzy Balcerowiczem i premierem. Byłem między nimi, ale jednak o wiele bliżej Mazowieckiego. Nie wykluczam, że na samym początku Balcerowicz mógł oczekiwać, że będzie

odwrotnie i że się rozczarował. Na pewno nie odczuwał wobec mnie takiej bliskości i zaufania, jak na przykład wobec Stefana Kawalca, z którym współpracował od dawna i który pełnił rolę podobną do tej, jaką ja pełniłem przy premierze. Uważałem, że w strukturze rządu nie powinny istnieć rywalizujące ze sobą ośrodki decyzji gospodarczych, dlatego zrezygnowałem na przykład z tworzenia odrębnego zespołu doradców gospodarczych, który by pracował w obrębie gabinetu premiera na nasz użytek. Taki zespół mógłby mieć ambicje ostrego recenzowania Balcerowicza, tak jak robił to w 1991 roku Komitet Doradczy Prezydenta. To wywoływałoby sytuacje konfliktowe, komplikowałoby mu robotę i osłabiałoby spójność polityki gospodarczej rządu. Sądziłem, że w tej szczególnej sytuacji roku 1990 ekipa gospodarcza musi być wyjątkowo zwarta, dobrana pod założony kierunek polityki, ale na posiedzeniach rządu popierałem często propozycje modyfikacji kursu idące w kierunku uzasadnionego rozluźnienia gorsetu finansowego. Balcerowicz mógł to odbierać jako wtykanie kija w szprychy jego pojazdu. W rzeczywistości chodziło mi o to, by antyinflacyjny zapał wicepremiera nie zaprowadził nas o jeden most za daleko. Moje interwencje bywały często skuteczne. Przeciwwstawiałem się na przykład podniesieniu podatku gruntowego do równowartości 5 kwintali żyta z hektara. Podatek ten ustalono chyba na poziomie równowartości 2,5 kwintala.

- Jak przebiegała dyskusja nad programem gospodarczym podczas obrad Rady Ministrów?

- Zgłoszono sporo uwag. Poprawioną wersję ponownie dyskutowano dziewiątego października, wpłynęły wtedy nowe zastrzeżenia. Do ostatecznej

akceptacji dokumentu Rada Ministrów upoważniła premiera. Z całą pewnością podczas tej dyskusji nie było incydentów czy starć, które się zapamiętuje. Przeważała aprobata, z wieloma jednak sugestiami zmian tego czy innego sformułowania.

Gdyby miał Pan wskazać jakieś szczególne wydarzenie w okresie przygotowywania operacji stabilizacyjnej, to co by to było?

Byłaby to rozmowa Mazowieckiego z przewodniczącym Międzynarodowego Funduszu Walutowego Michele Camdessus jedenastego grudnia 1989 roku. Byłem jej świadkiem. Odbywała się w sali zegarowej, gdzie premier zwykle przyjmował wysokie osobistości zagraniczne. Dwaj główni rozmówcy siedzieli na kanapce, obok na fotelu siedział Balcerowicz. Camdessus długo opisywał Mazowieckiemu operację, jaka miała być przeprowadzona. Tadeusz zadawał pytania, tamten odpowiadał, a na zakończenie spytał: „Panie Premierze, czy jest Pan zdecydowany przeprowadzić te posunięcia?” Premier spojrzął na podłogę, pochylił się nieco, trzymając złożone dłonie między kolanami, a potem już wyprostowany popatrzył na Camdessus, pokiwał głową i powiedział spokojnie, ale mocno: „Tak. Jestem zdecydowany to zrobić”. Na co przewodniczący Funduszu: „Jestem pewien, że wybiera Pan właściwą drogę dla swojego kraju. Ja i Fundusz jesteśmy z Panem”. Wstaliśmy, panowie podali sobie ręce, w sali powiało wielkim wydarzeniem historycznym.

Właśnie, mówi się często, że tak zwany plan Balcerowicza to w gruncie rzeczy tradycyjna recepta Międzynarodowego Funduszu Walutowego narzucona Polsce.

To jest ogromne uproszczenie. Fundusz Walutowy pomaga na ogół przy uzdrawianiu finansów i pieniądza, natomiast decyzje podejmowane przez rząd Mazowieckiego jesienią 1989 roku, a szczególnie te ze stycznia 1990 roku miały na celu jednocześnie demontaż systemu gospodarki komunistycznej i wprowadzenie podstaw gospodarki rynkowej. Nasz program wykraczał daleko poza to, co tradycyjnie robił Fundusz Walutowy i nie można go stawiać w jednym rzędzie ze stabilizacyjnymi działaniami na przykład w krajach Ameryki Łacińskiej. Również tak wychwalana, a kiedyś, co warto przypomnieć, brutalnie zwalczana reforma Grabskiego, przywracająca stabilizację złotego i równowagę finansów państwa, nie dorównuje planowi Balcerowicza, gdy chodzi o zakres przekształcenia gospodarczej rzeczywistości.

Czy to nie jest gloryfikacja rządu, do którego Pan należał?

To nie ma nic wspólnego z gloryfikacją, lecz jest to widzenie faktów we właściwych proporcjach. Na ewentualną gloryfikację przyjdzie czas, kiedy polska gospodarka po tej niezwykle trudnej przebudowie, oparta na nowych siłach i instytucjach ekonomicznych, odzyska zdolność do wzrostu. Dziś jest za wcześnie na ostateczne oceny polityki rozpoczętej jesienią 1989 roku. Warto natomiast mieć wyobrażenie o skali przedsięwzięcia. Można powiedzieć, że reforma Grabskiego czy jakiś plan stabilizacji w Meksyku lub Argentynie to były operacje oczyszczania wody w już gotowych akwariach, rząd Mazowieckiego natomiast stanął, jak głosił dowcip, przed zadaniem zrobienia akwarium z talerza zupy rybnej, którą odziedziczył po komunizmie.

Powiedział Pan, że misja Funduszu Walutowego przyjechała 15

października. Co robiła po przyjeździe?

Zaczęli od rozmów w Ministerstwie Finansów i innych ministerstwach żeby zapoznać się z sytuacją gospodarczą. To była misja złożona z ekspertów. Przyjechała w momencie, gdy minął już szczyt robót całkiem awaryjnych, jak opracowanie budżetu na październik i do końca roku, ale pojawiały się różne zagrożenia, o czym już wspominałem, i administracja centralna była bardzo tym pochłonięta. W drugiej połowie października powołane zostały w Ministerstwie Finansów grupy robocze do rozpracowania – już na poziomie aplikacji – poszczególnych tematów operacji stabilizacyjnej. Zespołem zajmującym się sprawami kursu walut kierował wiceminister Janusz Sawicki, dyrektor Stefan Kawalec pracował nad koncepcją hamulca płacowego, dyrektor Danuta Demianiuk przygotowywała zmiany w podatkach, wiceminister Andrzej Podsiadło miał przygotować koncepcje naprawy przedsiębiorstw zagrożonych upadłością. O pracy tych zespołów niewiele wiem. Wydaje się, że początkowo przebiegała ona dosyć niemrawo. W każdym razie do końca października do premiera i do mnie nie dotarły informacje o pracach nad programem stabilizacji. Zaniepokojony tą ciszą zwołałem na trzeciego listopada naradę, żeby zorientować się, jak przedstawiają się te sprawy. Z Ministerstwa Finansów był Wojciech Misiąg, który w trakcie narady wyszedł na obrady Senatu, i Andrzej Kołatkowski dyrektor Departamentu Polityki Finansowej i Analiz. Z jego informacji wynikało, że 27 i 28 października odbyły się pod przewodnictwem Misiąga dwa spotkania z ekspertami Funduszu Walutowego, w czasie których dyskutowano pierwszą roboczą wersję programu opracowaną przez stronę polską. Można powiedzieć, że była to bardzo łagodna wersja

stabilizacji.

W czym ta łagodność się przejawiała?

Przede wszystkim powolnym ograniczaniem inflacji. W gruncie rzeczy nie była to koncepcja operacji szokowej. Ceny detaliczne w grudniu 1990 roku miały być, zgodnie z tą wersją, wyższe niż w grudniu 1989 roku o 572%, podczas gdy w finalnej wersji programu, to znaczy w liście intencyjnym do Funduszu Walutowego ten wskaźnik został obniżony do 95%. Pokazuje to jak bardzo program stabilizacji został w toku prac zaostrożony, bo przecież trzeba wiedzieć, że gwałtowniejsze zduszenie inflacji wymagało drenażu o wiele większej ilości pieniędzy. Ta wstępna, łagodna wersja zakładała, że płace realne spadną o 8%, podczas gdy w wersji finalnej mowa była już o ponad dwudziestoprocentowym spadku, a ostatecznie obniżyły się one o ponad dwadzieścia pięć procent. Wreszcie wariant ten zakładał spadek produkcji o pięć procent i tutaj dochodzimy do zagadki pomylenia się rządu odnośnie do recesji, którą to pomyłkę bardzo często mu wytykano, czasami posądzając go o ignorancję.

Bo pięcioprocentowy spadek produkcji wyglądał jak wyspany z palca.

To tylko tak się wydawało. Otóż, aby na czas przygotować projekt budżetu, trzeba zacząć to robić dużo wcześniej, ale przedtem muszą być przyjęte z góry pewne założenia dotyczące sytuacji gospodarczej w okresie obowiązywania budżetu. Kiedy Misiąg zaczynał robotę, znana była ta właśnie robocza, najłagodniejsza wersja programu stabilizacji i pod jej założenia robiony był projekt budżetu. Później przez wiele tygodni trwały dyskusje nad konkretyzacją programu

stabilizacji, w toku których ulegał on sukcesywnie zaostrzeniu. To wywołało ogromne komplikacje w pracach nad budżetem, który musiał być przystosowany do nowych ustaleń, a one się zmieniały. Ta zmienność ustaleń i presja czasu spowodowały, że pierwsza wersja budżetu została przypuszczalnie przeliczona tylko częściowo. Obniżono, w porównaniu z łagodną wersją stabilizacji, wskaźnik wzrostu cen do 140%, czyli bardzo mocno, a pozostawiono założenie o niewielkim spadku produkcji. Inaczej mówiąc, jedna noga budżetu tkwiła na początku dyskusji o programie stabilizacji, a druga na końcu, stąd powstał taki rozkrok sytuacyjny.

Czy jest Pan pewien, że tu w grę wchodził tylko brak czasu i zmienność prognoz w toku dyskusji, czy może również obawa, żeby Radzie Ministrów i Sejmowi nie pokazać budżetu zbyt okrojonego, bo przecież założenie większej recesji prowadziło do założenia, że mniejsze będą dochody, a więc i mniejsze wydatki.

Nie wykluczyłbym tego motywu, nie mogę jednak wprost go potwierdzić, bo nie wiem. Na pewno nie jest łatwo ministrowi finansów i rządowi prezentować minimalny budżet. Na posiedzeniu Rady Ministrów, podczas dyskusji budżetowej, zwracano uwagę na zbyt optywizm w szacunkach spadku produkcji i wzrostu bezrobocia, ale w tym momencie odesłanie budżetu do przeróbki nie było możliwe, bo wywołałoby to ogromny rozgardiasz w działaniu państwa. W rezultacie, w ustawie budżetowej na rok 1990, rząd dostał uprawnienia do pewnego modyfikowania polityki budżetowej w trakcie roku.

Pod czym wpływem nastąpiło zaostrzenie programu?

Z pewnością pod wpływem argumentacji ekspertów Funduszu Walutowego, ale nie wykluczyłbym, że ta pierwsza, łagodna wersja mogła nie zadowalać samego Balcerowicza nastawionego na szybkie i radykalne stłumienie inflacji. Jestem też pewien, że napotkałaby ona poważne sprzeciwy ze strony Funduszu podczas ostatecznych rokowań, które rozpoczęły się w grudniu 1989 roku.

Czyli Fundusz Walutowy miał możliwości narzucenia swego stanowiska?

Wracamy do drugiej części początkowego pytania, na którą nie dałem odpowiedzi. Otóż Fundusz nic nam nie mógł narzucić i do niczego zmusić, ale i my nie mogliśmy zmusić go do zawarcia porozumienia i dania nam statutowej pomocy w postaci 700 mln dolarów kredytu. Wiadomo było również – mówiono nam to dobitnie wiele razy, publicznie i prywatnie – że licząca się pomoc Zachodu będzie możliwa dopiero po naszym dogadaniu się z Funduszem Walutowym, ponieważ takie porozumienie jest pewną gwarancją dla udzielających pomocy, że nie rzucają pieniędzy w błoto, więc jeśli tę pomoc chcieliśmy mieć, to musieliśmy negocjować z Funduszem, licząc się z tym, że nie każda pierwsza lepsza koncepcja go zadowoli. Trzeba jednak podkreślić, że te negocjacje toczyły się przy generalnej zgodności naszej strony i Funduszu co do polityki, która musi być zastosowana, i wobec tego panował klimat życzliwości. W działalności Funduszu nierzadko zdarzały się sytuacje, gdy z jego ekspertami rozmawiano w atmosferze wrogości.

Jaka była reakcja Funduszu na ten wyjściowy wariant?

Wyraźnie negatywna. Eksperci uznali, że skala zmniejszenia inflacji jest zbyt mała

i zaproponowali rozwiązania bardziej stanowcze. Ale zanim przejdziemy do zarysowania punktów spornych, powiedzmy może, w czym się zgodziliśmy właściwie od początku. Po pierwsze w tym, że od stycznia 1990 roku wyjąwszy pewną ograniczoną ilość dóbr i usług – ceny powinny być wolne od kontroli administracyjnej, powinien je kształtować rynek, a ceny, które pozostaną urzędowymi, powinny być odpowiednio dostosowane.

Ale przecież rynku nie było?

Częściowo już był. Tam gdzie państwo przestaje wtykać swoje trzy grosze w kształtowanie cen, tam ustalane są one między nabywcą i sprzedawcą, i to jest właśnie rynek, który może być zmonopolizowany i niedoskonały, bo młody, ale to już rynek i masowe zniesienie kontroli cen z dniem 1 stycznia 1990 roku było równocześnie historycznym aktem ponownego ustanowienia rynku w Polsce. Po drugie zgodni byliśmy w tym, że dochody i płace muszą być ostro zahamowane po to, żeby spadła ich wartość realna, ich siła nabywcza. Tylko w ten sposób można było ilość pieniędzy znajdujących się w portfelach ludności przystosować do ilości towarów i usług, czyli spowodować zahamowanie wzrostu cen, pojawienie się na powrót towarów w sklepach i zlikwidowanie kolejek. Nie było również sporu co do tego, że budżet państwa musi zostać zrównoważony, to znaczy że państwo nie powinno wydawać więcej niż otrzymuje i że to zrównoważenie musi zostać dokonane głównie przez radykalne zmniejszenie dotacji. Zgoda była wreszcie co do tego, że oprocentowanie kredytu musi być wyższe niż inflacja, bo tylko wtedy wyższe od inflacji może być oprocentowanie wkładów oszczędnościowych, które w ostateczności są podstawą kredytów. Te cztery punkty plus wewnętrzna

wymienialność, o czym za chwilę, to był fundament consensusu, jak widać solidny, który tkwił u podstaw wszystkich rozważanych wariantów.

Gdzie wobec tego były różnice zdań?

W kilku punktach. Na początku, o ile pamiętam, istniały po stronie polskiej rozbieżności co do tego, czy należy od 1 stycznia zlikwidować kilka istniejących kursów dolara i zastąpić je jednym, wprowadzając wewnętrzną wymienialność złotego. Narodowy Bank Polski, kierowany wtedy przez Władysława Bakę, był za odłożeniem terminu wprowadzenia wewnętrznej wymienialności do drugiej połowy 1990 roku, ale potem przychylił się do stanowiska Ministerstwa Finansów i Funduszu, by nie zwlekać z wewnętrzną wymienialnością.

Skąd się brała wstrzeźliwość NBP?

Wewnętrzna wymienialność wiąże się ze zobowiązaniem państwa, że każdy obywatel może w każdej chwili kupić dowolną ilość waluty obcej po obowiązującym kursie. U schyłku 1989 roku niepewność co do tego, jak zachowają się klienci kupujący i sprzedający dewizy, gdy wejdzie w życie program stabilizacji, była ogromna. Trudno było przewidzieć, czy nie dojdzie do masowego wykupywania dolarów. Gdyby tak się stało, to państwo w obawie przed utratą rezerw walutowych musiałoby zawiesić wymienialność, a to byłaby spektakularną porażką programu stabilizacji. Żeby takiemu niebezpieczeństwu zapobiec, Zachód ufundował właśnie Fundusz Stabilizacyjny w wysokości 1 mld dolarów. Być może NBP uważał, że to nie jest dostateczna gwarancja. Po usunięciu tej rozbieżności pozostały w zasadzie dwa główne problemy, wokół których skupiała się dyskusja

gdzieś od połowy grudnia. To był problem kontroli dochodów i płac oraz problem wysokości kursu złotego do dolara. Warianty, które rozpatrywano, różniły się odmiennymi rozwiązaniami w tych dwu sprawach, pozostałe problemy, jak wysokość stopy procentowej czy wysokość podwyżki cen węgla i energii, choć ważne, miały znaczenie drugorzędne.

Co to były za warianty?

Eksperti Funduszu skrytykowawszy wyjściową propozycję polską, zaproponowali trzy warianty:

Wariant A był znacznie zaostrzoną odmianą tego właśnie wyjściowego polskiego projektu. Zakładał radykalniejsze zduszenie inflacji. Ceny liczone od grudnia 1989 r. do grudnia 1990 r. rosły zgodnie z nim tylko o 263%, ale spadek płac realnych wynosił już 17%. Zakładał on również, że kurs dolara będzie na początku ustalony – wyżej na 6 tys. zł, żeby nie musiało się go zaraz zmieniać, będzie natomiast podwyższany od marca i w końcu 1990 roku osiągnie 12,7 tys. złotych.

W wariantcie B przyjęto, że na pierwszego stycznia kurs dolara ustali się w wysokości 10 tys. złotych, czyli o wiele wyżej niż w wariantcie A, i że nie będzie on zmieniany przez cały rok. Płace natomiast po rekompensacyjnym wzroście w styczniu miały być zamrożone na pół roku.

Wariant C różnił się od wariantu B tym, że zamrożenie płac miało trwać trzy miesiące.

Trzydziestego i trzydziestego pierwszego października odbyły się dwa wielogodzinne spotkania ekspertów polskich i Funduszu, w czasie których

posługując się matematycznymi modelami komputerowymi naśladowującymi przebieg procesów gospodarczych omówiono te warianty. Eksperti doszli do wniosku, że wariant B, najostrożniejszy, jest niewykonalny, przypuszczalnie ze względu na zbyt dużą dotkliwość dla społeczeństwa związaną z półroczną blokadą płac. Po tej dyskusji pozostał więc wariant A i wariant C, w którym ceny liczone od grudnia 1989 r. do grudnia 1990 r. rosły o 165%, a płace realne spadały o 24%. Tak mniej więcej, bez wchodzenia nadmiernie w szczegóły, wyglądał na początku listopada 1989 roku stan prac nad programem stabilizacji.

Oprócz dyskusji nad kursem dolara, popiwkiem i kredytem były jeszcze problemy prawne, przygotowanie tych jedenastu ustaw, które były potem tak pośpiesznie przepychane?

Na ten temat niewiele się dowiedziałem podczas narady u mnie. Ogólne wrażenie było takie, że ciągle tkwimy w lesie i że ruszenie pierwszego stycznia może być zagrożone. Parę dni później podczas narady u premiera w willi na Parkowej, gdzie był obecny Balcerowicz, powiedziałem oczywiście szefowi o moich obawach. Dwudziestego listopada Balcerowicz przedstawił na posiedzeniu Rady Ministrów założenia programu stabilizacyjnego, które wywołały żywą dyskusję i liczne wątpliwości, a w ślad za tym serię dezyderatów pod adresem ministra finansów, który został między innymi zobowiązany do „wydatnego przyspieszenia prac nad konkretyzacją rozwiązań systemowych programu gospodarczego” i sprecyzowania zagrożeń wiążących się ze stabilizacją. Rada Ministrów nie wiedziała, jaki pasztet szykuje sobie i Sejmowi ponaglając Balcerowicza. Dwudziestego piątego listopada najpierw przez KERM, a potem

przez Radę Ministrów i Sejm zaczęto przepychać, z rozlicznymi komplikacjami, opasły pakiet ustaw zawierający długą listę zmian, z których niemal każda była minirewolucją, a wszystkie razem tworzyły kontury nowej gospodarczej rzeczywistości, w której za miesiąc miało się znaleźć czterdzieści milionów ludzi.

Jakie komplikacje ma Pan na myśli?

Przez cały październik i dużą część listopada Balcerowicz, krążąc między swoimi gniazdami na Świętokrzyskiej i w URM, dosyć skrupulatnie omijał gabinet premiera, zjawiając się tam na ogół wtedy, gdy miał jakieś problemy z uzyskaniem jego podpisu. Oczywiście był zabiegany, a rozmowy z Mazowieckim zajmują czas, ale widoczna była też wyraźnie skłonność do działania na własną rękę. Nawet jeśli Balcerowicz miał jakieś swoje racje, to na tę skłonność Mazowiecki patrzył nieufnym i niechętnym okiem, widząc w niej niebezpieczeństwo swoistej dwuwładzy w rządzie, z którą nigdy by się nie pogodził ze względu na swój charakter i swoją filozofię rządzenia. Tadeusz od osób, ku którym zwraca się z zaufaniem, a tak było w wypadku Leszka, oczekuje kontaktu osobistego, a nie przez notatki i sekretarki, oczekuje rozmowy o problemach i o decyzjach, których realizacja wymaga zaangażowania jego autorytetu. Te rozmowy trwają długo, bywają męczące i można je lubić lub nie, ale dzięki nim unika się wielu błędów, gaf, wycofywań się, sprostowań i tak dalej, unika się wrażenia chaosu, który podważa autorytet państwa. Najważniejsze decyzje Mazowieckiego są zawsze skrupulatnie przetrawione.

I oto trzydziestego listopada zjawił się u premiera Balcerowicz z zapowiedzią, że w najbliższych dniach Rada Ministrów będzie musiała przyjąć serię trudnych i

niezmiernie ważnych ustaw gospodarczych. Domagał się też natychmiastowych działań ze strony Mazowieckiego dla zapewnienia politycznego wsparcia przez różne siły operacji stabilizacyjnej, a także spowodowania, by Sejm uchwalił te ustawy przed końcem roku, bo operacja stabilizacyjna nie może być przesunięta poza pierwszy stycznia. Jednym słowem przyszedł z zestawem gotowych poleceń dla szefa rządu i trochę je tak traktował, bo w zostawionym nam zestawieniu napisane było najpierw: „zobowiązać premiera do...”, a potem to skreślono i zastąpiono sformułowaniem: „prosić premiera o...”.

To znaczy, że Balcerowicz nie zachował się zgodnie z konwenansem, natomiast jego postulaty były uzasadnione?

Jego postulaty były uzasadnione i zostały spełnione, ale konflikt, który się zarysował, nie był konfliktem na tle konwenansu. Właściwie zaczęła wyłaniać się następująca kwestia: czy Balcerowicz i jego ekipa są składnikiem rządu Mazowieckiego, czy rząd Mazowieckiego i on sam są dodatkami do ekipy gospodarczej? Przy tym chcę być dobrze zrozumiany, wcale nie posądzam Leszka o zamiar stania się faktycznym premierem ukrytym za plecami premiera nominalnego, natomiast jego postępowanie siłą swej logiki ku temu zmierzało i gdyby się sprawy nie ułożyły, skończyłoby się to niedobrze. Pomimo bardzo złego wrażenia z rozmowy Mazowiecki nie miał zamiaru hamowania toku prac nad programem i zgodził się, by pierwsza część pakietu gospodarczego stanęła na Radzie Ministrów piątego grudnia, po czym wyjechał do Moskwy na posiedzenia Układu Warszawskiego. Drugiego grudnia wróciła do Warszawy misja Funduszu Walutowego, tym razem pod przewodnictwem Massimo Russo, dyrektora

Departamentu Europejskiego, by dokończyć negocjacje i podpisać list intencyjny.

Powiedział Pan, że gdyby sprawy między Mazowieckim a Balcerowiczem nie ułożyły się, skończyłoby się to niedobrze. Dla kogo?

Myślę, że dla obu. Balcerowicz może nawet musiałby szukać pracy, a Mazowiecki nowego szefa ekipy gospodarczej i sądzę, że lepszego by nie znalazł. Na szczęście rozsądek istnieje po to, żeby dogadywać się ze sobą, więc się dogadali. Ale wróćmy do misji Funduszu. Zgłosiła ona zastrzeżenia do budżetu, że jest opracowany w oparciu o nierealistyczne założenia, że trzeba go przeliczyć, biorąc za podstawę niższą inflację, a więc w rezultacie także wychodząc na niższe dochody i wydatki. Trzeciego grudnia, kiedy Marek Dąbrowski na konferencji prasowej przedstawiał założenia programu stabilizacji, sztab KERM (wice-premierowie: Balcerowicz i Janowski, kilku ministrów gospodarczych, sekretarz KERM i ja), obradujący z przerwami cały dzień, miał przed oczami niełatwą sytuację: budżet w rozsypce, opóźnienia w pracach nad ustawami. W tej sytuacji zapadła decyzja, by przesunąć obrady KERM z czwartego na piątego grudnia, a posiedzenie Rady Ministrów (to już wykaczało poza nasze kompetencje) z piątego na szósty grudnia. Jasne było również, że trzeba wystąpić do Sejmu o przesunięcie terminu złożenia projektu budżetu do siódmego grudnia najpóźniej. Pierwszy styczeń, magiczna data, którą nas Balcerowicz bez przerwy hipnotyzował, była coraz bliżej, czuliśmy dociskanie do ściany. Było coraz mniej czasu nawet na pobeżne czytanie projektów ustaw.

Dlaczego to wszystko miało się zacząć pierwszego stycznia?

Nie musiało. Właściwie przemawiała za tym jedynie wygoda związana z początkiem roku bilansowego, czyli okoliczność bez znaczenia na tle ogromu i powagi przedsięwzięcia. Uczynienie z pierwszego stycznia takiej magicznej daty, której nie wolno przekroczyć, miało niewątpliwie swoją cenę i oczywiście nie zalecałbym tego stylu do rozwiązywania wszystkich spraw państwa w każdej sytuacji. Sądzę jednak, że w końcu 1989 roku większy mógł być koszt zwłoki niż koszt pośpiechu. Gdyby nie to poczucie błyskawicznie upływającego czasu, wówczas górę wzięłyby zapewne zrozumiała i zdrowa skłonność do przyjrzenia się dokładniej proponowanym rozwiązaniom, często bardzo dotkliwym. Nie można wykluczyć, że wykryto by błędy i usunięto je, ale jest prawdopodobne, że trudna reforma gospodarcza utknęłaby w debatach. Chcąc ruszyć w niepewną przyszłość z ekwipunkiem na wszystkie niespodzianki, mogliśmy w nią nie wyruszyć w ogóle.

Budżet w rozsypce, a posiedzenie Rady Ministrów odwołane...

I to znów na mocy samowolnej decyzji tego „okropnego” Balcerowicza, który nie skonsultował jej z wicepremierem Janickim, zastępującym Mazowieckiego pod jego nieobecność. Wywołało to kolizję z Ambroziakiem, odpowiedzialnym za organizowanie posiedzeń Rady Ministrów, i ponowne napięcie w stosunkach z Mazowieckim. Opadło ono następnego dnia, gdy Leszek wyjaśnił szefowi powody rozbieżności zdań z Funduszem Walutowym. Mazowiecki zamruczał pod nosem: „Ten Fundusz to nie powinien nam tu za bardzo się wtrącać”, ale akceptacja wniosków Balcerowicza była pełna: posiedzenie Rady Ministrów ustalono na szóstego grudnia, jeszcze przed pierwszym stycznia miały być też podniesione ceny zaopatrzeniowe węgla i energii.

To coś nowego, skąd się wzięła ta propozycja?

Było to echo sugestii misji Funduszu po jej powrocie do Polski. Zaproponowali oni, by niektóre decyzje związane z operacją stabilizacyjną wprowadzić wcześniej i w ten sposób osłabić szok pierwszego stycznia. Sugerowali natychmiastowe zniesienie pułapów cen, tam gdzie one jeszcze obowiązywały, rozpoczęcie stopniowej dewaluacji złotego, żeby zbliżyć się do kursu na 1 stycznia, i wreszcie podniesienie cen detalicznych węgla i energii. Na skutek dość mocnych protestów Kuronia, a także moich, ustalono na posiedzeniu sztabu KERM, że podniesione będą od razu ceny zaopatrzeniowe, czyli dla przedsiębiorstw, a nie dla ludności. Pozostałe propozycje przyjęliśmy bez dyskusji.

Szóstego grudnia rozpoczął się dwudniowy maraton Rady Ministrów. Jak rząd przyjął propozycje ustaw gospodarczych?

Przypomnijmy, w porządku obrad znajdowały się ustawy o zmianie: ustaw podatkowych, ustawy o gospodarce finansowej przedsiębiorstw, ustawy Prawo bankowe i Prawo dewizowe, ustawy o działalności zagranicznych osób i firm na terenie Polski, wreszcie ustawa o przedpłatach na samochody i ona wzbudziła najbardziej burzliwą, nie rozstrzygniętą wtedy dyskusję. Do ustaw gospodarczych było wiele uwag szczegółowych, ale nie kwestionowano ich założeń. Pamiętam, że miałem nawet wrażenie, że ta dyskusja jest zbyt zwykła jak na tę chwilę, w której odgrywa się pierwszy akt kreowania w Polsce gospodarki rynkowej.

Dlaczego taką burzę wywołała ustawa o przedpłatach?

Było to zderzenie państwa prawa z dziurawą kasą. Mazowiecki i część

członków Rady Ministrów uważali, że zobowiązania państwa wobec obywateli trzeba szanować. Druga część członków Rady Ministrów z Balcerowiczem na czele stała na stanowisku, że przy tak wielkich potrzebach o większej dolegliwości niż brak własnego samochodu trzeba zrezygnować z zasady na rzecz zabezpieczenia socjalnego. W tym wypadku chodziło o pieniądze na pokrycie części zwiększonych odsetek od kredytów rolnych i mieszkaniowych. Wtedy przegrał Balcerowicz, ale wiele miesięcy później sprawa wróciła rykoszetem. Trzeba było szukać kompromisu między honorem i miską kuroniówki.

Rada Ministrów przyjęła pierwszą część pakietu gospodarczego i jak przez wąski przełyk zaczął się on przesuwac przez Sejm. Szóstego grudnia rząd zwrócił się do Sejmu o ekspresowe rozpatrzenie szesnastu ustaw, z tego dziewięciu do końca roku. Chodziło o ustawy dotyczące: gospodarki finansowej przedsiębiorstw, ceł, dewiz, podatków, zatrudnienia, zwolnień grupowych, funduszu socjalnego, deputatów, przeciwdziałania monopolom. Przez Wiejską przetoczył się jęk. „To nieludzkie tempo” mówili posłowie świadomi, że gwiazdkę 1989 r. mają z głowy. „Żaden normalny rząd i Sejm – mówił następnego dnia Aleksander Małachowski, gdy Balcerowicz -uzasadniał opóźnienie związane z przygotowaniem budżetu – nie powinien zgodzić się na takie przyspieszenie. Ale to nie jest normalny rząd. Przypadło mu wielkie zadanie wyprowadzenia kraju z zapaści i trzeba mu w tym pomóc”.

To były wielkie dni Sejmu dziesiątej kadencji. Utworzono ekspres w postaci Komisji Nadzwyczajnej pod kierownictwem Andrzeja Zawisłaka. Trzynastego i czternastego grudnia Rada Ministrów przyjęła drugą część pakietu gospodarczego,

w tym projekt budżetu na rok 1990.

Także bez większej dyskusji?

Były liczne głosy pełne obawy o nadmierną ostrość programu, ale żadna ustawa nie została zakwestionowana, nawet – jak się później okazało – nazbyt liberalna ustawa o zatrudnieniu, która wpłynęła w pierwszych miesiącach na zwiększenie danych o liczbie bezrobotnych o ponad jedną trzecią, bowiem zgłaszały się po zasiłki osoby wcześniej nie pracujące. Hojność tej ustawy przyznającej – jakbyśmy byli krajem nader bogatym – czterdzieści procent ostatniego wynagrodzenia jako zasiłek bezterminowy, była spowodowana dużą obawą przed pojawieniem się szybko rosnącego bezrobocia i wzrostem napięć społecznych na tym tle.

Szesnastego grudnia rząd miał problemy programu stabilizacyjnego z głowy, przynajmniej na czas prac legislacyjnych Sejmu.

Ależ skąd! Balcerowicz poprzez swoich ludzi jak czujny cerber czuwał nad tym, co działo się na Wiejskiej, bacząc, żeby posłowie nie wprowadzali jakichś modyfikacji psujących program, to znaczy rozluźniających jego rygory. Spore zaniepokojenie pojawiło się na wiadomość, że Komisja Nadzwyczajna zamierza złagodzić karne opodatkowanie za przekroczenie funduszu płac. Było to już po zakończeniu rokowań z misją Funduszu Walutowego i opracowaniu listu intencyjnego. Modyfikacja popiwku przez Sejm zmuszałaby do ponownych rokowań i przeliczania od nowa całego programu, wszystko bowiem w nim było logiczne, matematycznie powiązane. Łagodniejszy popiwek dałby w efekcie

wyższy wzrost płac, a więc wyższą inflację i wyższą stopę procentową, a zatem wyższy kurs dolara do złotego. Pamiętam, że Balcerowicz był bardzo zaniepokojony. Na szczęście Komisja Nadzwyczajna dała się przekonać.

Kiedy zostały zakończone rokowania z Funduszem Walutowym?

Osiemnastego grudnia. Następnego dnia u premiera znalazła się ostateczna wersja listu intencyjnego i z tym wiąże się najostrejsze starcie z Balcerowiczem w czasie całej kadencji rządu Mazowieckiego, ale o tym za chwilę. Rokowania z Funduszem przeciągnęły się ponad oczekiwania. Na początku grudnia przewidywaliśmy, że już w połowie miesiąca Fundusz wyda oświadczenie o przyjęciu listu intencyjnego. Dyskusja nad nim i ostateczne zatwierdzenie przez Zarząd Funduszu miały nastąpić w Waszyngtonie w drugiej połowie stycznia 1990 roku, ale samo parafowanie przez władze polskie oznaczało sygnał, że porozumienie osiągnięto, co odblokowywało różne formy pomocy zachodniej, głównie ustanowienie Funduszu Stabilizacji, bez którego wprowadzenie wewnętrznej wymienialności złotego było zbyt ryzykowne, a ona stanowiła jedno z kluczowych założeń programu stabilizacji. Rokowania przeciągnęły się z powodu kontrowersji wokół budżetu. Jak powiedziałem, budżet był obliczony przy założeniu znacznie łagodniejszej operacji antyinflacyjnej. Już w trakcie pierwszej tury rozmów z Funduszem koncepcję tę mocno zastrzono, a dalsze zastrzenie nastąpiło w połowie grudnia. Budżet, jak pamiętamy, obliczony był ostatecznie przy założeniu inflacji w wysokości sto czterdzieści procent od grudnia 1989 r. do grudnia 1990 r., podczas gdy w liście intencyjnym wskaźnik ten obniżono do dziewięćdziesięciu pięciu procent.

Co umożliwiło obniżenie tego wskaźnika?

Po pierwsze, stało się to niewątpliwie pod wpływem perswazji ekspertów Funduszu, a jak sądzę także Jeffrey'a Sachsa, którzy twierdzili, że najważniejsze w pierwszych miesiącach programu jest zduszenie inflacji, a więc im bardziej stroma będzie ścieżka zjazdu, tym lepiej. Wydaje mi się, że recesja – jako skutek uboczny tym dotkliwszy im właśnie bardziej stromy jest ten „zjazd z inflacji” – była niedoceniana. Kiedy w pierwszej dekadzie lutego Franciszek Kubiczek, ówczesny szef GUS ogłosił, że produkcja przemysłu spadła w styczniu ponad trzydzieści procent, był to ogromny szok, któremu towarzyszyło niedowierzanie i nawet głosy, że ten nomenklaturowiec coś kręci. Jednak nie kręcił. Recesja była niedoceniana, natomiast nie było bagatelizowane niebezpieczeństwo fali bankructw i eksplozji bezrobocia.

Baliście się czegoś, co nie nastąpiło, lekceważąc coś, co się stało.

W pewnym sensie tak, chociaż dużo bankructw i wysokie bezrobocie to jest objaw recesji. Można powiedzieć, że baliśmy się jej bardziej od strony skutków społecznych, możliwości niepokojów, strajków, czyli zagrożeń ładu, także tego rodzącego się ładu demokratycznego, mniej natomiast pamiętaliśmy o spadku produkcji, może dlatego że produkcja – i to byle jaka, za wszelką cenę, produkcja dla planu, a nie dla ludzi – była przez dziesięciolecia prawdziwym złotym cielcem. Nie wykluczone więc, że pod wpływem buntu przeciwko temu komunistycznemu bożkowi nastąpiło pewne znieczulenie na ujemny produkcyjny efekt programu. Myślę, że gdybyśmy wówczas byli nieco bardziej wrażliwi na tę sprawę, to ostatnie pociągnięcie piórem zaostrażające program nie nastąpiłoby. Wydaje mi się, że to był

ten jeden most za daleko, błąd, który nie dyskwalifikuje operacji, ale który spowodował przypuszczalnie wzrost kosztów ponad potrzeby. Jednakże w drugiej połowie roku zostały one częściowo wyrównane. Tak bym przedstawił ogólny kontekst tego dodatkowego, wprowadzonego tuż przed końcem rokowań, zmniejszenia inflacji o czterdzieści pięć procent. Taką możliwość stwarzało radykalne obniżenie wskaźnika indeksacji płac. Jeszcze dwunastego grudnia, kiedy KERM dyskutował nad budżetem, mówiło się, że w styczniu współczynnik indeksacji płac będzie wynosił 0,7–0,8, czyli w zasadzie będzie taki sam jak w końcu 1989 roku. Nie wykluczam, że w grupach zajmujących się negocjowaniem mówiono już wtedy o współczynniku 0,5, pamiętam bowiem, że podczas kolejnych spotkań z Balcerowiczem indeksacja malała. Następnego dnia Sachs ze swym współpracownikiem Dawidem Liptonem napisali notatkę pokazującą zalety zmniejszenia indeksacji w styczniu do 0,2. Trudno mi powiedzieć, jak wielki był wpływ tej notatki, ale pokazuje ona generalną tendencję do zaostrzenia programu pod koniec negocjacji. Jak wiadomo, ostatecznie przyjęto, że indeksacja w styczniu wyniesie 0,3, a w następnym kwartale 0,2, czyli prawie dokładnie tyle, ile proponowali Sachs i Lipton.

Powiedział Pan, że baliście się bardziej bankructw i bezrobocia, a mniej spadku produkcji. Czy te obawy miały jakieś skutki praktyczne?

Jednym była hojna ustawa o zasiłkach dla bezrobotnych, drugim – popiwiek. W dyskusjach nad programem antyinflacyjnym oprócz wariantów o których mówiłem, dyskutowany był przez jakiś czas tak zwany wariant Thatcherowski wzorowany na doświadczeniu brytyjskim. Hiperinflacja to jest niekontrolowany

wpływ pieniądza, powódź pieniężna, która zalewa gospodarke. Żeby ją zatrzymać, trzeba gdzieś postawić tamy. Wariant brytyjski umieszczał tę tamę w banku centralnym, który brutalnie blokował wypływ pieniądza, natomiast każde przedsiębiorstwo mogło swobodnie podnosić płace. Tu żadne ograniczenia nie istniały poza interesem właściciela. Płacąc za dużo, przestawał być konkurencyjny i mógł zbankrutować. Brytyjscy właściciele doskonale ten mechanizm znali. Ten właśnie wariant proponował zespół Janusza Beksiaka i przez pewien czas zastanawiano się czy go nie zastosować.

Związki zawodowe ostro krytykując popiwek, od początku domagały się swobody ustalania płac. Dlaczego nie poszło się im na rękę?

Wariant Thatcherowski nie został przyjęty, bo w naszych przedsiębiorstwach nie było właścicieli tylko dyrekcje mianowane przez państwo, a w roku 1989 na skutek ustaleń „okrągłego stołu” i zapisów zwiększających rolę samorządów doszło do faktycznego przejęcia władzy, w formalnie nadal państwowych przedsiębiorstwach, przez grupy samorządowe, będące pod wpływem załóg. Wskutek tego decyzje kierownictw przedsiębiorstw zaczęły być bardzo mocno kształtowane przez doraźny interes płacowy. Celem takich patologicznych firm stało się: płacić i nie zwalniać, wobec tego istniało niebezpieczeństwo, że pełna swoboda, gdy chodzi o płace, w sytuacji kiedy ceny będą przez jakiś czas szybko rosły doprowadzi do wysokich podwyżek płac i braku środków na bieżącą działalność, a więc do masowego „uduszenia się” przedsiębiorstw. Z takiej sytuacji są dwa wyjścia: albo bank i rząd są twardzi i wtedy przedsiębiorstwa masowo bankrutują, a bezrobocie rośnie eksplozywnie (tak się właśnie stało w NRD, ale obok

była super bogata RFN), albo rząd i bank ulegają presji i wtedy załamuje się próba opanowania hiperinflacji, bo tama wstrzymująca wpływ pieniędzy pęka. Żeby temu zapobiec, postanowiono zastosować nie jedną, ale kilka tam, jedną z nich stał się popiwiek. Tak więc ten najbardziej niepopularny instrument planu Balcerowicza wymyślony został po to, żeby uniknąć skutków, które byłyby jeszcze bardziej dotkliwe dla społeczeństwa. Fundusz, który podzielał argumentację przeciwko wariantowi Thatcherowskiemu, był zarazem przeciwnikiem popiwku, opowiadając się długo za bardziej brutalnym instrumentem, za zamrożeniem płac na szereg miesięcy. Tu strona polska została przy swoim.

Jak ostatecznie rozwiązano sporne problemy budżetowe, które spowodowały zwłokę w rokowaniach?

Budżet nie został przeliczony według ostatecznego wskaźnika inflacji przyjętego w programie, natomiast Balcerowicz zobowiązał się do zmodyfikowania wydatków, gdyby inflacja była niższa niż przyjęta w kalkulacjach budżetowych. To zobowiązanie potwierdził potem Sejm, dając rządowi odpowiednie upoważnienia. Było jednak bardzo późno i komentatorzy zaczęli zastanawiać się czy nie powstały jakieś poważniejsze komplikacje w rokowaniach Polski z Funduszem. Nikomu z nas nie zależało na podsycaniu spekulacji i przeciąganiu okresu niepewności, szczególnie, rzecz jasna, odczuwał presję czasu Balcerowicz. Dziewiętnastego grudnia zwrócił się on do premiera, aby ten prawie od ręki bez omówienia na posiedzeniu Rady Ministrów, wyraził zgodę na parafowanie listu intencyjnego przez Bakę i Balcerowicza. Dostarczył wykonane pospiesznie i bardzo niedbale jego polskie tłumaczenie, na dodatek z wykropkowanymi

miejscami, gdzie miały być cyfry, bo jeszcze coś tam w ostatniej chwili uściślano. Nie było też przy liście dodatku zawierającego tak zwane kryteria wykonawcze, czyli zobowiązania władz polskich wobec Funduszu, od których wykonania miała zależeć jego pomoc.

Powiedział Pan, że Balcerowicz dostarczył złe polskie tłumaczenie listu intencyjnego. Czy to znaczy, że jego projekt nie był pisany przez Polaków?

Oczywiście, że nie. To jest normalna procedura. Ustalenia są wynikiem rokowań, natomiast sam tekst według pewnej sztancy, także gdy chodzi o język, pisany jest przez ekspertów Funduszu, podobnie się dzieje przy listach intencyjnych w rokowaniach z Bankiem Światowym. Otóż ten fatalnie przełożony i dziurawy w najważniejszych miejscach tekst, w istocie strzęp bez wartości, w połączeniu z dużą brawurą Balcerowicza zdetonował groźne starcie. Mazowiecki całkiem słusznie uznał to za przykład lekceważenia jego samego i rządu, a także za stawianie się ministra finansów ponad Radę Ministrów. Tego samego dnia wezwał Balcerowicza, prosząc mnie, bym był obecny przy rozmowie. Balcerowicz, choć tylko on był wezwany, przyszedł z Misiągiem, co Mazowieckiego jeszcze bardziej rozsierdziło. Odpowiedź była twarda. Nie ma mowy o zgodzie na parafowanie tego dokumentu tak długo, jak długo Rada Ministrów nie zapozna się z jego pełną i ostateczną wersją, dającą się czytać po polsku. Premier dodał, że może się to stać dopiero po świętach, na co Balcerowicz odpowiedział, że jeśli tak, to operacja antyinflacyjna nie ruszy pierwszego stycznia, bo nie można jej zaczynać przy wielkiej niepewności, czy dostaniemy Fundusz Stabilizacyjny. Na to Mazowiecki odrzekł: „No to nie ruszy!”

I co, mogła nie ruszyć?

Mogła, jeśli okazałoby się, że jedyną szansą zdążenia na czas jest brutalne zgwałcenie konstytucyjnej władzy państwa. Na takie rzucenie rządu na kolana Mazowiecki nigdy by się nie zgodził, choć w momencie gdy ten konflikt wybuchł, był absolutnie zdecydowany wykonać operację uzgodnioną z Funduszem. Moim zdaniem ostatnie wątpliwości, jakie miał, rozwiął przewodniczący Funduszu pan Michel Camdessus podczas bardzo dobrej rozmowy z premierem jedenastego grudnia.

Rozmawiałem z Balcerowiczem, by pozwolił mi działać i nie zaostrzał konfliktu, bo przecież poparcie Mazowieckiego było mu niezbędne. Balcerowicz mocno wzburzony odpowiedział, że on też jest potrzebny Mazowieckiemu i to była prawda, ale groził, że ujawni konflikt. Bardzo go przed tym przestrzegałem, wiedząc na podstawie długiej znajomości Tadeusza, że w takiej sytuacji może podziękować Balcerowiczowi za współpracę. Potem rozmawiałem z szefem, tłumacząc zachowanie Leszka i przekonując go, że można sprawę załatwić na posiedzeniu Rady Ministrów przed świętami.

Następnego dnia rano, zadzwonił do mnie Stefan Kawalec i odczytał mi list od Balcerowicza napisany bardzo ultimatywnie i powtarzający, o ile pamiętam, groźby ujawnienia przyczyn zwłoki w parafowaniu listu intencyjnego. Miałem jasność co do tego, że jeśli premier dostanie ten list, sprawa się skrajnie zaostrzy. Powiedziałem to Stefanowi i prosiłem, by odwiódł Balcerowicza od przekazywania tego listu premierowi, obiecując, że będę przekonywał szefa do załatwienia sprawy przed świętami. Po jakichś naradach list został wstrzymany. Mazowiecki dał się

przekonać bez większych kłopotów. Po paru dniach napięcie opadło i nigdy już do takiego konfliktu nie doszło, przeciwnie, były bardzo długie okresy harmonijnej współpracy tych dwóch wybitnych ludzi.

Dwudziestego drugiego grudnia, po pięciogodzinnej chyba debacie, Rada Ministrów wyraziła zgodę na parafowanie listu intencyjnego. Od godziny zero, albo, jak czasem też mówiono, od big bangu, dzieliły nas dni. Gwiazdka. Po gwiazdce finalna debata sejmowa nad ustawami gospodarczymi, ale przed debatą pojawiła się propozycja Wałęsy, by wyposażyć rząd w nadzwyczajne pełnomocnictwa. Była ona całkowitym zaskoczeniem również dla rządu. Twierdzę, że nie był to gest pomocy u progu wielkiej, trudnej i niezbędnej operacji ekonomicznej. Był to akt „wojny na górze”, która dopiero za parę miesięcy miała być wypowiedziana publicznie, ale która już trwała za kulisami.

Mówiliśmy o politycznym przygotowaniu operacji. W ramach tego przygotowywania odbywały się różne spotkania: z klubami parlamentarnymi, ze związkami zawodowymi, z prezydentem. Dziewiątego grudnia został ogłoszony list Geremka, Mazowieckiego i Wałęsy, który stwierdzał, że „wspólnymi siłami musimy dźwignąć kraj z kryzysu, zreformować państwo, stworzyć racjonalny system gospodarczy i nadać Polsce konstytucję. Kroczymy dobrą drogą głosił list, ale pokonanie jej wymaga solidarnego wysiłku nas wszystkich. W obliczu powagi chwili wszyscy musimy poprzeć działania obywatelskie na rzecz naprawy Rzeczypospolitej”. To było ważne wydarzenie, akt solidarnościowej jedności. Podpisując ten list, Wałęsa stawał jasno i wyraźnie po stronie solidarnościowego rządu i jego działań. W trzy dni później padły zupełnie inne słowa i propozycja,

będąca w istocie kijem włożonym w szprychy rządowej polityki. „Sytuacja kraju pogarsza się, czas ucieka, kredyt społecznego zaufania jest na wyczerpaniu – głosiło oświadczenie Wałęsy z 12 grudnia – wprowadzane przez władzę zmiany są pozytywne, lecz oceniane jako zbyt powolne”, dlatego trzeba dać rządowi nadzwyczajne uprawnienia, konkludował Wałęsa.

Może rzeczywiście uważał, że tym Wam pomoże?

To dlaczego nas o to nie zapytał ani nie uprzedził premiera, że wystąpi publicznie? Przecież kilka dni wcześniej widział się z nim podczas zebrania komitetów obywatelskich. Nie chcieliśmy nadzwyczajnych pełnomocnictw, bo one zmieniłyby operację antyinflacyjną w samotne przedsięwzięcie rządu, któremu to przedsięwzięciu inne siły polityczne przyglądałyby się, umywszy ręce, i czekały, co z tego będzie. Wałęsa proponował to, co chętnie nam wtedy chcieli dać partyjni posłowie, kiedy zaś piętnastego grudnia pojechała do niego delegacja rządowa, aby przedstawić program na rok 1990, wróciła z poparciem według formuły: jestem za, a nawet przeciw. Wałęsowska propozycja to było wyraźne zarysowanie dystansu do rządu, być może odwołanie uznanego za błąd ruchu ze wspólnym listem.

Tymczasem mijały święta organizowane jeszcze w starym stylu. Zakupy robiono na rynku, który w drugiej połowie grudnia znów szybko zaczął się psuć. Narastało wykupywanie towarów, wydłużały się kolejki, pustoszały półki. Po świętach Sejm uchwalił pakiet ustaw gospodarczych. Dwudziestego dziewiątego grudnia prasa pisała: „Wszyscy boimy się tego, co nastąpi po pierwszym stycznia 1990 roku”. Rządowe gabinety nie były wolne od tego uczucia.

I co nastąpiło?

Pierwszego dnia nic, bo był Nowy Rok. Trzeciego stycznia nadeszły pierwsze informacje zebrane przez obserwujący przebieg wydarzeń zespół z gabinetu Balcerowicza. Wyłaniał się z nich obraz powszechnej dezorientacji w sprawie nowych zasad działania gospodarczego, spowodowanej bardzo późnym uchwaleniem przez Sejm ustaw gospodarczych. Nie wiedzano, jak naliczać podatki, jakie są cła. Taksówkarze zamiast wyjechać do pracy, oblegli zrzeczenia, aby dowiedzieć się o taryfy, na granicach były zatory, obsługa bankowa była sparaliżowana, w wielu regionach kraju wykupywano towary.

Powiedział Pan o zespole z gabinetu Balcerowicza obserwującym przebieg realizacji programu, a jak w ogóle wyglądało informowanie rządu o tej sprawie?

Oprócz tego zespołu, który co kilka dni dostarczał krótką, kilkustronicową informację o najważniejszych zjawiskach, działał jeszcze zespół monitorowania utworzony w Centralnym Urzędzie Planowania i kierowany przez wiceministra Henryka Chmielaka. Zespół ten sporządzał bardziej szczegółowe analizy, początkowo co kilka dni, potem w odstępach dwu tygodni, a potem co miesiąc. Oczywiście sporządzana była także normalna miesięczna informacja Głównego Urzędu Statystycznego o sytuacji gospodarczej. Raporty te otrzymywali zainteresowani ministrowie, a także Sztab Interwencyjny KERM. Początkowo, jeszcze w grudniu, gdy przygotowywano program, była to wąska grupa ministrów z Balcerowiczem na czele, pracująca w dosyć niesformalizowanym trybie, a potem Sztab się poszerzał. W pierwszych miesiącach 1990 roku to było ważne gremium i ważne miejsce, gdzie analizowane były niemal od ręki pojawiające się problemy i wypracowywane projekty decyzji. Sztab zbierał się dwa razy w tygodniu i niemal

na każdym jego posiedzeniu obecny był Balcerowicz. Potem ranga tego ciała malała, a ono rozrastało się o dyrektorów departamentów, doradców i urzędników.

Czy premier czytał te informacje?

Raczej rzadko, natomiast był informowany na bieżąco o najważniejszych zjawiskach i problemach. Już na szczeblu ministra mamy do czynienia z tak rozległym zakresem spraw i z tak napiętym kalendarzem, że brak jest czasu na czytanie dużych tekstów. Podstawowym dokumentem wewnątrzrządowym jest notatka, skrótowe ujęcie problemu na kilku kartkach.

Wróćmy jednak do pierwszych dni stycznia 1990 roku. Czwartego stycznia w „Gazecie Wyborczej” można było przeczytać na pierwszej stronie duży tytuł: „Lawina ruszyła”. Istotnie, i to bardziej niż zakładaliśmy. Już ósmego stycznia zaczęły dochodzić informacje, że być może ceny w pierwszym tygodniu stycznia wzrosły w skali założonej na cały miesiąc, czyli o 45–50% i dalej rosły, jak gdyby potwierdzając katastroficzne ostrzeżenia, które pojawiły się po ogłoszeniu szczegółów programu.

Jakie ostrzeżenia ma Pan na myśli?

Były różne. W tym wypadku mam na myśli ostrzeżenie Stefana Bratkowskiego, który pisał: „To, co nam zapowiedziano, czyli proponowane od 1 stycznia rozwiązania gospodarcze, nie rokuje zahamowania inflacji, lecz rozkręci hiperinflację, dla której żadna prasa nie nastarczy z drukiem banknotów”. Wtedy wydawało się, że ma rację, ale w kilkanaście dni później przyszły informacje bardziej pocieszające. Tempo wzrostu cen malało i coraz częstsze były przypadki

nieznanego w Polsce od wielu lat zjawiska obniżek cen. Siedemnastego stycznia rano jeden z moich współpracowników przyniósł wiadomość, że w Domach Towarowych Centrum obniżono ceny niektórych towarów. Dla nas były to jaskółki wskazujące, że pierwsze uderzenie burzy mija, że kończy się początkowa faza operacji, a mianowicie zjadanie przez szybko rosnące ceny nadmiaru pieniądza, i że lada dzień powinna ujawnić się, tak jak to było przewidziane, bariera popytu blokująca hiperinflację. Od trzeciej dekady stycznia meldunki coraz jaśniej potwierdzały blokowanie inflacji. Ceny właściwie stały w miejscu i coraz mniej było sygnałów o brakach towarów i o kolejkach, tym bardziej, że niezmiernie dynamicznie rozprzestrzeniało się nowe zjawisko: handel uliczny.

Czy był taki moment, w którym odczuliście, że udało się przejść przez ucho igielne i że program gospodarczy nie załamał się?

Było dotąd wiele tych uch igielnych i niektóre są jeszcze do przejścia, więc trudno wydać ostateczny sąd o przestawianiu polskiej gospodarki na działalność zgodną z regułami rynku i na jej rozwój bez inflacji. Pierwszym było dojście do momentu, gdy ceny przestały rosnać, a pustawy dotąd rynek wypełnił się towarami. To był okres największego napięcia, bo ludzie widzieli, że im z dnia na dzień topnieje wartość zarobków, a nie doświadczali ciągle jeszcze przy zakupach ułatwień właściwych dla normalnego rynku. Kiedy rynek trochę wynormalniał, wówczas dotkliwość wynikająca z drenażu portfeli zaczęła kompensować korzyść łatwiejszych zakupów i oceny programu zaczęły się różnicować. W końcu stycznia mieliśmy poczucie, że przeszliśmy przez pierwsze ucho, minąwszy po drodze kilka ostrych skał.

Cóż to były za skały?

Jedną z poważniejszych był wysoki, dwukrotny wzrost ceny chleba, jaki zarysował się w połowie stycznia i wywołał duży niepokój premiera i w ogóle rządu. Zarządzono natychmiast przeprowadzenie analizy tego zjawiska. Okazało się, że najważniejszą przyczyną wzrostu cen chleba było to, że zaczęto go piec z mąki pochodzącej z darów EWG, bo krajowej na skutek wstrzeźliwości rolników brakowało. Mąkę z darów sprzedawano zakładom po cenach EWG, a więc znacznie wyższych od cen krajowych, ponieważ tak to było ustalone z darczyńcami. Uzyskane pieniądze szły, jak wiadomo, na Fundusz Rozwoju Wsi. Aby zapobiec dalszej zwyżce cen chleba, rząd wprowadził obowiązek informowania izb handlowych o zamiarach ich podwyższania. Wydaje się jednak, że ceny chleba uspokoiły się nie dzięki wprowadzeniu takiej kontroli, lecz dlatego, że wkrótce potem rolnicy hurmem ruszyli ze zbożem do punktów skupu i znów były problemy, jak to ziarno odebrać.

Drugą skałą, mniej groźną, ale powodującą poważniejszą kolizję rządu ze wsią, był problem błyskawicznie narastających zapasów masła. Tu mamy potwierdzenie znanego powiedzenia, że piekło jest wybrukowane dobrymi intencjami. Otóż w grudniu dla podtrzymania spożycia grup o niskich dochodach utrzymano urzędową cenę na chude mleko i ser wraz z wysoką dopłatą z budżetu. W rezultacie tłuste mleko i ser zniknęły ze sprzedaży, natomiast zaczęła odkładać się góra masła. Jego eksport został zliberalizowany po polskiej stronie, ale nie po zachodniej i w kilka miesięcy później trzeba było odejść od tej preferencji dla uboższych grup, zmieniając sposób dotowania mleka i serów. Były jeszcze inne

problemy na styku z rolnictwem.

Mówił Pan, że program gospodarczy kilkakrotnie przechodził krytyczne momenty, które porównywaliśmy z przypowieścią o wielbłądzie i uchu igielnym. Pierwszym przejściem było osiągnięcie sytuacji, gdy ceny zostały mocno zahamowane, a półki się zapelniły. Kiedy było drugie?

Drugim punktem krytycznym było ogłoszenie w połowie lutego wyników produkcyjnych stycznia 1990 roku. Mówiłem już o okolicznościach przyjęcia pięcioprocentowego spadku produkcji jako podstawy obliczenia budżetu. Aczkolwiek mieliśmy wątpliwości do tego wskaźnika, sądząc, że spadek produkcji będzie większy, to przez cały styczeń właściwie tym się nie martwiliśmy. Kłopotem było to, że handlowcy nie kupują towarów, bo z powodu wysokiego oprocentowania brakuje im pieniędzy. Uważnie śledzony był napływ podatków do budżetu i zrównoważenie ich z wydatkami. Codziennie niemal napływały informacje o tym, czy kurs dolara jest stały, czy nie ma jakichś objawów paniki i wykupywania dolarów. To były punkty, na których skupiała się nasza uwaga. Poziom produkcji został na boku. I nagle po dziesiątym lutego GUS ogłosił, że produkcja spadła nie o pięć, nie o dziesięć i nawet nie o dwadzieścia, ale o ponad trzydzieści procent w stosunku do stycznia 1989 roku. To był szok i niedowierzanie, odezwały się wszystkie mechanizmy reagowania władzy na taką bardzo nieprzyjemną okoliczność. Ministerstwo Finansów zgłosiło zastrzeżenie do metodologii statystycznej i zaczęło własne obliczenia. Ten wynik był dlatego przede wszystkim tak szokujący, że stanowił skoncentrowany wyraz kosztów, jakie pociągał za sobą plan stabilizacji. Każdy czuł ten koszt w portfelu, ale ta cyfra

zespoliła miliony kosztów indywidualnych w jeden koszt narodowy. Rodziło się pytanie, jak to odbierze opinia publiczna i prasa. Rozległo się mocne jęknięcie i liczne: „a nie mówiłem”, jednak na tym w zasadzie się skończyło. Rząd stracił trochę punktów w notowaniach, ale ważny był fakt, że ponad trzydziestoprocentowy spadek produkcji został jednak w ciągu stycznia przełknięty przez społeczeństwo, wykazujące rzeczywiście odporność nadzwyczaj rzadko spotykaną przy realizacji tak ostrych programów sanacji. Godzinę zero mieliśmy za sobą.

Z wizytą u „Wielkiego Brata”

Jakie wydarzenia związane z podróżami zagranicznymi utkwily Panu w pamięci?

Najbardziej anegdotyczne. Kiedy wylądowaliśmy w Chicago, powitał nas burmistrz, a mowę rozpoczął następująco: „Tu w tym mieście żyje jeden milion ... dolarów”. Wybuch śmiechu przesłonił smutną refleksję, że panu burmistrzowi miliony z Polakami się nie kojarzą, a nawet dobitnie uświadomił, że jesteśmy w Ameryce.

Przed wyjazdem do Stanów udało się ostrzyć ministra Halla. Premiera strzygł fryzjer ze Świętokrzyskiej, który czasami przyjeżdżał do URM, tak było i wtedy. Mazowiecki się ostrzygł, zaproponował mi to samo, a potem wpadł na pomysł: „wiesz, spróbujemy zwabić Olka i zrobimy mu porządek na głowie”. Hall w głowie ma dobrze poukładane, za to na jego głowie panuje tumiwisizm i anarchia, z wyjątkiem miejsc, gdzie już jest łysy. Tadeusz podszedł do telefonu: „Panie ministrze, proszę na dół, mamy bardzo ważną sprawę do załatwienia”. Hall

przychodzi, premier i fryzjer czekają w łazience. Mówię Olkowi: „Idź na zaplecze”. Idzie do saloniku, ale w przejściu premier zaprasza go na przygotowane krzesło. Olek jest prawie wystraszony.

- Ale panie premierze, czy ja się muszę strzyć? Musisz.

- Czy to jest naprawdę konieczne? Tak, absolutnie konieczne.

Zrezygowany Olek usiadł, a gdy wstał, miał resztę pukli uporządkowaną i ułożoną jak kawałek ogrodu w Wersalu.

To są refleksje anegdotyczne a te bardziej serio?

Największe wrażenie zrobiła na mnie wizyta w Moskwie, a najbardziej sentymentalny był powrót do Paryża w roli dygnitarza. Można powiedzieć, że jechaliśmy do Moskwy, by Mazowiecki mógł porozmawiać z Gorbaczowem. Oczywiście wiele było punktów programu i tematów, ale najważniejsza była ta rozmowa.

Dlaczego Mazowiecki przywiązywał tak wielką wagę do rozmowy z Gorbaczowem?

Z kilku powodów. Uważał, że dla polskiej polityki zagranicznej pierwszorzędna jest oś pozioma – nasze stosunki z Niemcami i Wschodem, gdzie dominowała Rosja, która na pewno nie stanie się drugorzędna, a w roku 1989 od ponad siedemdziesięciu lat trwał Związek Radziecki, z lekka dopiero drżący w posadach. Mazowiecki jechał, żeby upредить jakieś nerwowe działanie wobec Polski przywracającej sobie niepodległość i żeby uzyskać zrozumienie dla naszych racji i przekonanie, że Polska niepodległa, niekomunistyczna będzie sąsiadem,

którego nie trzeba się obawiać.

Czy mieliście jakieś podstawy do obaw o takie nerwowe zachowania?

Na początku września od Rakowskiego przyszły informacje, że w ZSRR odbywają się jakieś niepokojące zebrania na temat wydarzeń w Polsce, ale Mazowiecki uważał te informacje za wpuszczanie nas w maliny. Był jednak wrażliwy na każdy głos ze Wschodu, wietrząc niebezpieczeństwo. Później jeszcze kilka razy dochodziły niepokojące sygnały.

Czy podobne motywy kierowały premierem, gdy niemal u progu swego urzędowania przyjął szefa KGB Kriuczkowa?

Tak. Wiedzieliśmy, że to delikatna audyencja, która może być źle przyjęta przez opinię. Mazowiecki uważał jednak, że powinien się spotkać z tym panem, by osobiście wywąchać stosunek KGB do wydarzeń w Polsce i żeby przedstawić wydarzenia zachodzące w Polsce we właściwych wymiarach.

Z tego co Pan mówi, wynika, że Mazowiecki chciał po prostu się uwiarygodnić wobec Sowietów, wykazać, że nie będzie im gorzej niż za komuny?

To nie tak. My nie odzyskiwaliśmy niepodległości, by sąsiadom było gorzej, lecz żeby nam było lepiej. Mazowiecki uważał, że zmiany w Europie pozwalają rozpocząć pojednanie polsko-niemieckie, a także pojednanie Polaków z narodami Wschodu, w tym z narodem rosyjskim. W jego wystąpieniach pojawiała się często jako wzór historia konfliktów francusko-niemieckich, które zastąpiono właśnie pojednaniem. Do Moskwy jechał jako rzecznik takiego właśnie celu, do którego droga jest odległa i niełatwa, ale by ją przejść, trzeba na nią wejść. Oprócz tego był

pekaty worek różnych spraw. Podczas ustalania programu przez Jacka Ambroziaka, który wcześniej pojechał do Moskwy, doszło do sporu o hołd dla Włodzimierza Iljicza. Nie chcieliśmy składać wieńców w mauzoleum Lenina. Strona radziecka nalegała, mówiąc, że to zwyczajowy protokół zagranicznych wizyt, szacunek dla twórcy państwa, a nie dla działacza komunistycznego. Ambroziak miał jednak wyraźną instrukcję premiera. Gospodarze byli urażeni i Mazowiecki dla poprawy klimatu zgodził się odwiedzić gabinet pracy Lenina na Kremlu. To było nawet interesujące. Kustosz zdradzała manieri zawodowego sierżanta, gabinet był skromny, niepozorny jak na miejsce, gdzie wylęgała się czerwona hydra, która zatrała znaczną część dwudziestego stulecia.

Problemów z odwiedzeniem Katynia nie było?

Z odwiedzeniem żadnych, natomiast były duże kontrowersje na temat ujęcia sprawy Katynia w komunikacie z wizyty, który jeszcze przed wizytą uzgadniał w Moskwie Ambroziak. Radziecki wiceminister spraw zagranicznych, z którym Jacek pracował, nie chciał słyszeć o jakiegokolwiek wzmiance na temat Katynia. Sprawę nie wyjaśnionych stron stosunków polsko-radzieckich proponował ująć w starej formie, że zajmuje się tym mieszana komisja historyków. Oba stanowiska były dla nas nie do przyjęcia. Ta komisja to byli historycy partyjni, polscy pochodzili z pezetpeerowskiej Akademii Nauk Społecznych. Ostatecznie wzmianki o komisji nie było zupełnie.

Jaka była przyczyna tak twardego stanowiska?

Najprawdopodobniej Rosjanie byli już wtedy zdecydowani przyznać się do zbrodni katyńskiej, ale trzymali ten prezent dla generała Jaruzelskiego, który miał

wkrótce przyjechać do Moskwy. I rzeczywiście tak się stało. Jacek nie uzyskał zmiany stanowiska radzieckiego, mimo że chwilami rozmowa była gorąca, raz doszło wręcz do awantury z doradcą radzieckiego wiceministra, który zapomniał, że nie mówi już z urzędnikiem satelickiego państwa i zaczął pouczać Ambroziaka.

Jednak w komunikacie znalazła się wzmianka o Katyniu?

Tak, ale przeforsował ją ostatecznie Mazowiecki i to dopiero w rozmowie z Gorbaczowem. Wcześniej, podczas redagowania komunikatu z udziałem Ryżkowa, premier twardo powiedział, że nie może się zgodzić, by w komunikacie panowało pełne milczenie o Katyniu, tym bardziej, że w komunikacie z wcześniejszego spotkania Gorbaczowa z Jaruzelskim Katyń był wspomniany. Gdzieś w podtekście jego wypowiedzi było, że w razie pominięcia Katynia może nie być wspólnego komunikatu i Ryżkow zgodził się, warunkując to jednak stanowiskiem Gorbaczowa. W ogóle redagowanie komunikatu zajęło sporo czasu, bo Rosjanie przygotowali go przy użyciu starej sztancy, której my nie zamierzaliśmy powtarzać. Zmian było sporo.

A z jakimi sprawami jechaliście do Moskwy?

Z wieloma. Chcieliśmy zerwać z ideologią w stosunkach międzypaństwowych i uzyskać od strony radzieckiej: potępienie paktu Ribbentrop-Mołotow, przyznanie się ZSRR do zbrodni katyńskiej i jej wyświechtanie, odszkodowania za łagry i zostawione mienie, zwrot dóbr kultury, prawa mniejszości dla Polaków w ZSRR (kontakty z Polską, szkoły, parafie, księża, ośrodki kultury, stowarzyszenia, etc.), pakiet gospodarczy, zmianę rozliczania kosztów wojsk radzieckich w Polsce...

... ale nie wycofanie?

Nie. Wtedy tego nie zażądaliśmy. Byłoby to żądanie przedwczesne, awanturnicze, nie przyniosłoby rezultatu ani pożytku. Można było tego zażądać z początkiem 1990 roku, kiedy zawalił się komunizm w Europie Centralnej, ale byłoby to nierozważne.

Węgry i Czesi pozwolili sobie jednak na „nierozwagę” i wyszli z tym wcześniej niż my?

Tak, ale my mieliśmy sprawę granicy na Odrze i Nysie. Kiedy nadchodziło zjednoczenie Niemiec, wypowiedzi Kohla na temat granicy stały się niejasne. Wzbudziły na Zachodzie zaskoczenie, a w Polsce wielki niepokój, szczególnie na ziemiach zachodnich. Trzeba było najpierw tę sprawę załatwić bez zostawiania wątpliwości. To było pilne, zależało od bliskich terminów (konferencja 2 + 4), na które nie mieliśmy wpływu. Sprawa wojsk radzieckich musiała poczekać. Potrzebowaliśmy poparcia ZSRR dla zabiegów o ostateczne uznanie granicy zachodniej.

Były jednak opinie, że Mazowiecki działał za nerwowo, wręcz niepotrzebnie zrażając Niemców, którzy nam nie zagrażają, bo żyjąc w demokratycznym państwie, które jest powiązane ze Wspólnotą Europejską.

To prawda, że nie zagrażają, ale trzeba pamiętać, że jest nie tylko dziś, lecz i jutro, i pojutrze. Historia często złości sobie zupełnie zaskakujące ścieżki. A poza tym gdyby Mazowiecki uległ amatorskim i krótkowzrocznym argumentom krytyków jego polityki zagranicznej, to zostawiłby zadrę wywołującą niepokój szczególnie tych obywateli kraju, którzy żyją wzdłuż zachodniej ściany. Ten niepokój nawet po podpisaniu traktatu nie zniknął zupełnie, bo przypomnijmy, jak

było. Na początku 1990 roku 67% Polaków – według sondażu Ośrodka Badania Opinii Publicznej (10/552) – uważało, że zjednoczenie Niemiec będzie niekorzystne dla Polski (jesienią 1989 roku było takich odpowiedzi 45%), a 69% bało się, że Niemcy wysuną wobec nas żądania terytorialne. Mazowiecki działał więc nie tylko zgodnie z naszym długofalowym interesem, ale także zgodnie z odczuciami większości Polaków...

... w sprawie uznania granicy zachodniej, ale czy i w sprawie wycofania wojsk radzieckich?

Też. W tym sondażu 70% odpowiadających uważało, że wojska radzieckie powinny „zostać aż nie załatwi się sprawy z Niemcami”. Niepokój był tak wielki, że te wojska, bardzo przecież nie lubiane, nagle zaczęto postrzegać jako potencjalnych obrońców. A że tak było, świadczy sondaż (32/574) przeprowadzony pod koniec maja, kiedy już wiadano, że Mazowiecki wcisnął Polskę na konferencję 2 + 4 i Niemcy będą musiały zgodzić się na korzystne dla nas stanowisko w sprawach granicy. Była to wielka ulga i z 70% życzących sobie, żeby wojska radzieckie póki co nie wychodziły, zostało 32%.

Wojska jednak pozostały...

Żeby wyszły, trzeba było zgody obu stron... albo wojny. Trzeba wiedzieć, że dla tych radzieckich wojskowych i polityków, którzy ciągle hołubią imperialne wizje i marzenia, Polska jest o wiele ważniejsza niż Węgry czy Czechosłowacja, dlatego tamci nie mieli takich problemów jak my. Zgoda na wyjście przyszła po puczu, czyli po kompromitacji „konserwy”. Rząd Mazowieckiego zażądał wycofania wojsk radzieckich, jak tylko było wiadomo, że będziemy uczestniczyli w

konferencji 2 + 4. Dwudziestego czwartego kwietnia Mazowiecki przyjmując Jazowa, ministra obrony ZSRR, przekazał mu to żądanie. Zaczęły się rozmowy bez większych postępów. W listopadzie 1990 r. na konferencji KBWE wskutek nalegań Mazowieckiego Gorbaczow uznał za możliwe wyjście wojsk do końca 1991 roku. Dalszy ciąg należał do rządu Bieleckiego.

Jakie było zainteresowanie wizytą ze strony radzieckiej?

Duże, jak w ogóle tym co działo się w Polsce. „Za komunistów” wyżsi urzędnicy państwowi mieli swoich „opiekunów” w ambasadzie ZSRR. Nas też im „przydzielono”. Pewnego razu na początku urzędowania zadzwonił do sekretarki jeden z pracowników radcostwa handlowego ZSRR, że chce mi złożyć wizytę. „Panie Ministrze, nasz kochany Borys chce się z panem spotkać. Dobrze go znamy, obstawiał tu niejednego. Jest uparty, przyczepia się jak rzep. Czy mam go spławić?” Z ciekawości postanowiłem go przyjąć. Od tego czasu zjawiał się regularnie. Nigdy nie przyjmowałem go od razu, zawsze musiał poczekać. Nie chodziło o upokarzanie, potem nawet go trochę polubiłem, ale chciałem, żeby wiedział, że się zmieniło, że on nie jest już z tej wybranej ambasady.

O co pytał?

Czasem interweniowałem, że ktoś nie dostarczył czegoś jakiejś radzieckiej fabryce. Częściej badałem, czy za naszymi dobrosąsiedzkimi deklaracjami nie ma drugiego dna. Pytał, czy chcemy wystąpić z Paktu Warszawskiego, czy będziemy się starali o przyjęcie do NATO, czy wyjdziemy z RWPG, czy zażądamy wycofania wojsk radzieckich i tak dalej. Rozmowy były dyplomatyczne, uśmiechnięte i kontrolowane, choć tak wiele do ukrycia nie było. Mówiliśmy Rosjanom, że

szczerze chcemy dobrych stosunków, ale jedno musi być jasne – Polska to nasz dom, jego urządzenie to nasza sprawa i nikt nie ma prawa wtykać do tego nosa. Przed wizytą w Moskwie Borys bardzo się dobijał o spotkanie. Chciał wiedzieć, z czym jedziemy.

W jednej z poprzednich rozmów powiedział Pan, że Soros, węgierski miliarder, chciał wypróbować na Polsce ratunkową receptę gospodarczą dla Związku Radzieckiego. Czy Związek Radziecki zainteresował się planem Balcerowicza?

Na pewno interesował się nim sam Gorbaczow. Na początku lutego 1990 roku prezydent Jaruzelski poprosił Mazowieckiego o zrobienie, na prośbę Gorbaczowa, krótkiej informacji o przebiegu operacji stabilizacyjnej. W połowie lutego na polecenie szefa napisałem dziewięciostronicową notatkę, która została dostarczona Gorbaczowowi, a w kwietniu zrobiłem podsumowanie I kwartału. Potem zainteresowanie zmalowało.

Odlot do Moskwy?

Dwudziestego drugiego listopada, w pięćdziesiątą rocznicę moich urodzin, „azotoksiakiem” odlecieliśmy z lotniska wojskowego na Okęciu. Uwagę zwracał kapelusz Małgosi Niezabitowskiej, czarny o szerokim rondzie. Tadeusz Syryjczyk, wysoki, brodaty, w płaszczu do połowy łydek, z pękatą teczką w ręku wyglądał jak współnik Wokulskiego, kupiec petersburski pierwszej gildii, tak mi się kojarzył. Jechali też: Olek Hall, Jurek Osiatyński, Marcin Świącicki, Andrzej Drawicz, Jacek Ambroziak, Marek Dąbrowski, Bronisław Kamiński – minister ochrony środowiska i Bolesław Kulski – sekretarz stanu w MSZ, do tego eksperci, dziennikarze, w

sumie sporo osób. I jeszcze – znak czasu – ksiądz Hauke-Ligowski od dawna związany z opozycją. Miał odprawić mszę na miejscu mordy katyńskiego. Gdy lądowaliśmy na lotnisku Wnukowo, było już ciemno. Przed rozjarzonymi światłami budynkiem i w silnym świetle neonówek stał „paczotnyj karauł”, kompania honorowa w stalowo-niebieskawych płaszczach, czapkach ze srebrnych karakułów, ze sztandarem i orkiestrą. Wyszliśmy standardowo: premier, szef protokołu, delegacja, reszta. Po powitaniu i hymnach za idącym Mazowieckim obracały się jak na łożyskach uniesione głowy „karauła” wyprężonego na: „prezentuj broń”.

Co Pan czuł podczas tego po witania?

Nie chciałbym powiedzieć więcej niż było. Czułem pewną niezwykłość tej zwykłej w końcu ceremonii i jej prawdziwość, bo gdy poprzednio witano szefów satelickiej Polski, to była w tym lipa, udawanie, więc aż trochę nie dowierzałem, że to się dzieje naprawdę. Powiedziałbym, że był też ślad podszytej zastarzałym lękiem emocji. Można by ją ująć tak: oto nas, dywersję antysocjalistyczną, rozlokują za chwilę w luksusowym moskiewskim hotelu, zrośniętym pewno z KGB każdą cegłą, sprzątaczką i licznymi kamerami. Zapukają w nocy, wejdzie piękność z NKWD albo... cię rozstrzelają. Ale nic z tego, KGB tkwiło w cieniu, a kryzys szczyrzył zęby na wierzchu...

Źle karmili?

Karmili wspaniale, ale w toalecie były pocięte kawałki zwykłego papieru. „Coś nie najlepiej z imperium, jak już taki papier podsuwają” skomentował ktoś z nas.

Ponoć premier odmówił spania w rządowym pałacyku?

To prawda. Nie chciał być odizolowany. Może wpłynęły na to wydarzenia sprzed kilku lat, kiedy to przed gwiazdką 1981 roku wieziono go czarną wołgą z obozu internowania w Strzebielinku do Jaworza. Przeżył wtedy ciężką noc, bo myślał, że wylądaje na poligonie u ruskich, a stamtąd Bóg wie gdzie. Wylądował na niezłym śniadaniu w jaworzańskiej złotej klatce dla internowanych inteligentów.

Rozmowy plenarne...

... odbywały się w kipiącej złoconiami sali kremłowskiej . W drzwi, tam gdzie kiedyś były orły carskie, wprawiono czerwone gwiazdy. Gdy szliśmy jeden z gospodarzy powiedział: „Wasi byli tu już kilkaset lat temu, ale krótko”. Ze strony radzieckiej przewodniczył Ryżkow. Był grzeczny, ale chłodnawy i z rezerwą, trochę sztywny, niezbyt otwarty na nasze tematy. Najzyczliwiej potraktował sprawę zwrócenia Polsce zbiorów Ossolineum, wiążąc to ze zwrotem przez Polskę Ukrainie archiwum Szewczenki. Mazowiecki zgodził się z takim ujęciem, mówiąc, że Ossolineum powinno być w Polsce, a Szewczenko na Ukrainie. W pewnym momencie Ryżkow tonem bardziej oficjalnym i twardszym powiedział, że ma sprawę delikatną, która należy do kompetencji państwa polskiego i on nie chce tych kompetencji kwestionować, uważa jednak, że byłoby niedobrze, gdyby w związku z rocznicą stanu wojennego doszło do ataków na Jaruzelskiego i PZPR, „która poszła przecież na pluralizm i porozumienie. Dla dobra pracy rządu koalicyjnego należałoby nie dopuścić, żeby określone siły – jak mówił – podgrzały atmosferę”.

Do demonstracji pod pomnikiem Lenina w Nowej Hucie nie nawiązywał?

Nie, ale faktem jest, że podpalenie pomnika w przeddzień wizyty w ZSRR mocno popsło humor Mazowieckiemu, nie przez sentyment do Włodzimierza

Iljicza, ale dlatego, że zależało mu na dobrym klimacie wizyty. Tadeusz uważał to podpalenie za spowodowane i wyjątkowo niemądre. W tym duchu wydane zostało oświadczenie rzecznika prasowego rządu.

Jak Mazowiecki zareagował na faktyczne wtrącanie się Ryżkowa do tego, co ma się dziać w rocznicę stanu wojennego?

Nie chciał robić z tego problemu. Powiedział, że obawy Ryżkowa są na wyrost, że oczywiście będą demonstracje, ale nie przewiduje niczego drastycznego. Demonstracje są dozwolone, a bardzo dużo ludzi w Polsce potępia stan wojenny i on osobiście również. Ryżkow podziękował za odpowiedź, i mitygując się, że mówi o sprawach należących do nas i zakończył czymś, co miało być komplementem: „Panie Mazowiecki, chociaż jest Pan premierem niekomunistycznym, to przyjmujemy Pana tak, jakby było inaczej”.

Jak przebiegały rozmowy gospodarcze?

Dały niewielkie rezultaty. Podczas rozmów plenarnych Ryżkow uchylił się od pozytywnej odpowiedzi na wysunięte przez nas kwestie. Odsyłał do ministrów i ekspertów, co było równoznaczne z tym, że nie będzie sukcesu. Eksperci mogą precyzować podjęte decyzje polityczne, ale ich nie podejmują, a w ZSRR szczebel decyzyjny był powyżej ministra.

Kto po stronie radzieckiej przewodniczył rozmowom gospodarczym?

Konstanty Katuszew, kiedyś ważna postać centralnej nomenklatury, ale wtedy przygasły, uważany za człowieka Gorbaczowa, ponury, zimny, o martwym spojrzeniu. W rozmowach gospodarczych ujawniła się nasza przetargowa słabość. Oni mogli swoją ropę i gaz sprzedać za dolary na Zachodzie i kupić tam obrabiarki,

a my naszych obrabiarek nie mogliśmy sprzedać za dolary, żeby kupić ropę i gaz. Taka była różnica. Nie mogliśmy też zagrozić wstrzymaniem eksportu, bo to położyłoby jednym ciosem dziesiątki naszych wielkich fabryk.

Jechaliśmy z trzema tematami: mechanizmy wymiany, dostawy surowców dla Polski i nasz dług wobec ZSRR. Rosjanie chcieli od razu przechodzić na rozliczenia w dolarach, my proponowaliśmy zacząć to stopniowo po roku 1995. Było jasne, że przejście natychmiastowe wywoła szok w naszej gospodarce. Mieliśmy szacunki strat, szły w miliardy dolarów. Rosjanie byli hermetyczni, domagali się przejścia jak najszybciej. Liczyli, że wycisną z Europy Wschodniej trochę zielonych dla podreperowania własnych finansów. Nam zależało na utrzymaniu dostaw surowców z ZSRR na poziomie z pięciolatki 1986-1990, a oprócz tego chcieliśmy dodatkowych dostaw gazu za udział w budowie gazociągu z Jamburga do zachodniej granicy Polski. Rosjanie natomiast twierdzili, że dostawy za Jamburg są wliczone do zwykłej puli, która w przeciwnym wypadku byłaby obniżona.

W 1989 roku byliśmy winni ZSRR 5 miliardów rubli za kredytowe dostawy ropy naftowej i za zaciągnięte w latach 1984-1988 kredyty na metro warszawskie. Do tego dochodziło około 1,5 miliarda dolarów od nie spłaconego kredytu zaciągniętego w roku 1979. W obu wypadkach chcieliśmy, żeby zawieszono nam na kilka lat spłatę odsetek, bo spłacanie rat było już na jakiś czas zawieszane.

Mazowiecki naciskał na Gorbaczowa i na Ryzkova w sprawie ropy i gazu, bo wtedy baliśmy się, że nam zabraknie tych surowców. Ale to nie my trzymaliśmy atuty. Podobna sytuacja powtórzyła się za rządów Bieleckiego, który zarzucał nam, że źle przeszliśmy na rozliczenia dolarowe, ale sam też niewiele od Rosjan uzyskał.

Jak się udała rozmowa z Gorbaczowem?

Nie byłem przy niej. Mazowiecki wrócił zadowolony. Powiedział, że Gorbaczow to wielka indywidualność, człowiek o „iskrzącej inteligencji”, rasowy polityk. Sądę, że Tadeusz też zrobił na Gorbaczowie wrażenie.

Była też rozmowa z Andriejem Sacharowem.

Mazowiecki powiedział po niej, że Sacharow to intelektualista, ale nie polityk. Uderzyło go bardzo emocjonalne atakowanie Gorbaczowa. Tadeusz uważał, że opozycyjna inteligencja rosyjska powinna szukać sojuszu z Gorbaczowem, a nie konfrontacji. Dostrzegał w ich myśleniu zasadę: wszystko od razu, bardzo obcą jego sposobowi działania politycznego. Z Sacharowem przyciągnął do ambasady cały tłum radykalnej pieriestrojki. Wiele nazwisk znałem z Paryża, czytałem bowiem przez kilka lat obfity serwis prasowy „Radiostacji Wolność”, radzieckiego odpowiednika „Wolnej Europy”.

Jakie było spotkanie z Polonią?

Obopólnie wzruszające. Zbiegły się odpryski Polski z różnych czasów i stron – zza miedzy, z tych stepów, gdzie „Bóg wysoko, kraj daleko”, i aż spod granicy chińskiej. Niektórzy znakomicie mówili po polsku, inni już niemal w ogóle nie znali ojczystego języka. Najbardziej utkwiała mi w pamięci łotewska działaczka polonijna Ita Kozakiewicz, która niedługo potem utonęła we Włoszech. Była to kobieta o bardzo silnej indywidualności, mówiąca jasno, wiedząca czego chce.

- Prasa pisała o balandze w restauracji „Praha”?

- Jaka tam „balanga”? Pewnego wieczoru jeden z gospodarzy zapytał: Może Pan Premier chciałby coś obejrzeć w Moskwie?

- Tak, Arbat.

- Kiedy?

- Zaraz.

- Zaraz to może nie, ale za godzinę.

Po godzinie jechaliśmy na Arbat. Był pusty, listopadowy, bez wyrazu. Wiał wiatr, było zimno. Naszą grupę – z przodu i z tyłu szły czujki obstawy – mijali pojedynczy przechodnie. Nagle skądś wyłonił się Andrzej Drawicz jeszcze z kimś.

- Andrzeju, gdzie tu można wejść na piwo? zapytał premier.

- Drogi Tadeuszu – rzekł Drawicz, celebrując słowa – tutaj zaraz za rogiem jest dobra restauracja „Praha” na pewno Cię tam nasi rosyjscy bracia przyjmą bardzo gościnnie.

W wejściu tłum, z góry zbiegł gość w białej marynarce:

- Kochani, przyjdźcie jutro, mamy tu ze dwadzieścia wesel – powiedział ściskając Tadeuszowi rękę.

Ale za chwilę wiedzą już, że to polski premier. Znajdują miejsca, zastawiając część tanecznego kręgu. Spędziliśmy tam parę godzin. Było trochę rosyjskiej wódki, no i tańce. Mazowiecki też tańczył. Z Niezabitowską nawet nieźle zatańczył tango lacomparsita.

Dwa dni później w Pradze czeskiej obalono komunizm. Jakiś zachodni dziennikarz zapytał: „Panie Mazowiecki, w Moskwie jest też restauracja Bukareszt, kiedy Pan do niej pójdzie?”

Po Moskwie był Leningrad?

Piękne miasto, silny ośrodek ruchu demokratycznego, który wtedy już

przenikał do władz, potem jeden z bastionów, o który rozbił się pucz. W tym mieście czuło się powiew Rosji Hercena, tej, która rozumie, że nie można być wolnym, gdy się więzi innych. Takie miałem wrażenie, a zaraz potem wróciliśmy pięćdziesiąt lat wstecz...

To było w Smoleńsku, po ceremonii w lasu katyńskim. Autobus, którym jechaliśmy za premierem, zatrzymała niewielka demonstracja na cześć polskiego szefa rządu, a przeciw władzom miasta. Premier i obstawa odjechali na spotkanie z tymi władzami, a my zostaliśmy wśród demonstrantów, nie wiedząc, co dalej. Wściekły na gospodarzy Ambroziak zatrzymał przypadkowych milicjantów i zrugął ich, posługując się swoim gładkim rosyjskim. Ci uznali, że jak ruga, to ma prawo i po dłuższych konwersacjach przez radio zawieźli nas gdzie trzeba. Przy stole siedział samotny Mazowiecki, a naprzeciw sekretarz obkomu, wysoki, grubokościsty brunet. Powoli przewracał kartki opasłego zeszytu i referował, ile wyprodukowano, zasiano, ile jest krów, świń, żłobków, studentów. To była sowiecka skamielina z lat pięćdziesiątych, a może trzydziestych, daleko od Moskwy, jeszcze dalej od Leningradu. To był drugi koniec rozchodzącego się na skraje Sojuza, baza puczu, który w dwa lata później próbował z powrotem postawić na nogi „imperium zła”. Po Rosji budzącej nadzieję, to była Rosja budząca lęk.

Wcześniej byliście w Katyniu...

Przyjechaliśmy po zmroku ośnieżoną smoleńską drogą wprost z lotniska. Na horyzoncie zostały światła miasta. Było pusto. Na granatowym niebie świeciło dużo gwiazd. Było pewno więcej niż dwadzieścia stopni mrozu. Autobus stanął w lesie, czekały już tam dwa inne autobusy z Polakami uprzedzonymi, że przybędzie

premier. Weszliśmy na wąską leśną drogę. Krzyczącą ciszę tego miejsca przerywał tylko skrzyp śniegu pod butami i półgłosem rzucane słowa. Droga prowadziła w głąb lasu, lekko w dół na polanę przy stromo spadającym zboczem. Na polanie stał drewniany krzyż, chyba z datą zbrodni, ale bez napisu. Napis, że zrobili to hitlerowcy, wyryto na dużej płycie w środku polany. Tuż przy zboczem było kilka niewielkich mogił z przeniesionymi szczątkami. Faktyczne miejsce rozstrzeliwań było w dole u podnóża zbocza. Premier złożył wieniec pod krzyżem, a potem ojciec Hauke-Ligowski odprawił przy grobach mszę. Ze strony radzieckiej w podróżach towarzyszył nam jeden z wiceministrów spraw zagranicznych. Tego wieczoru stał z tyłu, uważając może, że nie ma prawa uczestniczyć w tej mszy na miejscu polskiej tragedii i rosyjskiej zbrodni. Tadeusz zwrócił się do Jacka Ambroziaka, żeby poprosił naszego rosyjskiego opiekuna bliżej, a kiedy ksiądz powiedział: „przekażcie sobie znak pokoju” podał mu rękę jako gest pojednania.

Co się czuje w tamtym miejscu?

Przeskok czasu o pół stulecia. Ma się przed oczami naszych, jak ich prowadzą. Myślę, że wszyscy tak to przeżywaliśmy. Ja miałem też przed oczami trochę strasznych i bardzo konkretnych scen, które wszędzie były pewno podobne. Pod koniec pobytu na Zachodzie przetłumaczyłem dla paryskiego „Kontaktu” relacje z masowych rozstrzeliwań w Kuropatach na Białorusi i w jednym z łagrów – mordowni na Syberii.

Wiosną 1990 roku polecieście do Stanów Zjednoczonych.

Leciliśmy rejsowym Boeingiem LOT w biznes klasie. Pod nami dziesięć kilometrów w dole przesunął się południowy skrawek Grenlandii, jaskrawo biały,

górzysty kawałek krainy Królowej Śniegu i Świętego Mikołaja, potem ogromne lasy Kanady, pełne zwierza i bohaterów Londona, z zamarzniętymi jeziorami, na których widać było ślady sań-samochodów, jedyne z takiej wysokości świadectwo dwudziestego wieku. Dopiero daleko na południu pojawiły się drogi i miasta.

Jakie były główne cele tej wizyty?

Wymieniłbym trzy najważniejsze. Mazowiecki chciał przekonać Amerykanów i osobiście prezydenta Busha, żeby traktowali Polskę jako samodzielny obiekt swej polityki europejskiej, a nie jako funkcję ich stosunku do tego, co dzieje się w ZSRR. Chodziło o to, żeby Polska miała wyższy priorytet w Waszyngtonie i żeby zaangażowanie Stanów było przeciwwagą dla sytuacji, w której bylibyśmy znów obiektem gry interesów wielkich sąsiadów. To nie był „proamerykanizm”, lecz pragmatyzm. Intelktualnie i emocjonalnie Mazowiecki ciążył bardziej w kierunku Europy Zachodniej niż Stanów. W zachowaniach niektórych polityków amerykańskich dostrzegał ślady, powiedzmy łagodnie „imperialnej pewności siebie”, które go irytowały.

Bardzo ważnym celem wizyty było uzyskanie od Ameryki i osobiście od prezydenta Busha poparcia w naszych staraniach o udział w konferencji 2 + 4. Tutaj nie znaleźliśmy takiego zrozumienia jak w Londynie, Paryżu i Moskwie. Sojuszników mogliśmy szukać w Kongresie, ale Biały Dom był wstrzemięźliwy.

Skąd się brała ta wstrzemięźliwość?

Sądzę, że z kluczowego znaczenia, jakie mają Niemcy w systemie amerykańskiej obecności na kontynencie europejskim, a także w NATO. Ponadto w Niemczech dosyć silne są nastroje antyamerykańskie, których administracja

waszyngtońska nie chciałaby zapewne pobudzać, stając wyraźnie po stronie polskiej. Wreszcie myślę, że Amerykanie nie rozumieli naszych obaw, a w każdym razie nie rozumieli ich tak jak Francuzi czy Anglicy, co wynikało z różnicy doświadczeń historycznych.

Ważnym tematem rozmów w Ameryce była wreszcie sprawa redukcji polskiego zadłużenia wobec rządów i banków zachodnich.

Już wtedy ta sprawa była stawiana?

Była stawiana od początku. Odważna operacja antyinflacyjna i prorynkowa pierwszy raz stosowana do gospodarki komunistycznej, czas wielkiej przemiany, gdy nasz region, a Polska szczególnie, znajdowała się w centrum uwagi świata – to dawało szansę powodzenia tego, wydawałoby się, zupełnie nierealistycznego zamiaru. O potrzebie redukcji zadłużenia Balcerowicz mówił już 26 września 1989 roku na posiedzeniu Rady Gubernatorów Funduszu Walutowego i Banku Światowego. Potem wracaliśmy do tej sprawy przy każdej okazji. Osiemnastego listopada wiceminister finansów Janusz Sawicki przedstawił tę sprawę przebywającej w Warszawie delegacji EWG z Rolandem Dumas i Jacquesem Delors. Na początku lutego 1990 roku, w przeddzień posiedzenia Klubu Paryskiego, Mazowiecki wysłał listy do szefów rządów państw członkowskich, w których mowa była między innymi o sprawie redukcji długu. Prawie od początku w wewnętrznych dyskusjach mówiło się o redukcji osiemdziesięcioprocentowej, żeby można było normalnie spłacać resztę i żeby gospodarka polska miała jeszcze trochę środków na rozwój. Długo jednak z tą liczbą nie wychodziliśmy, żeby nie wystraszyć partnerów. Ujawnił ją publicznie Balcerowicz na początku maja 1990

roku.

Jaki był stosunek Amerykanów do tego postulatu?

Życzliwy, pełen zrozumienia, w czym pewną rolę odgrywało może to, że nasz dług wobec rządu amerykańskiego nie był duży. W każdym razie obiecali wsparcie w Klubie Paryskim. Tutaj natomiast twardsze stanowisko zajmowała Margaret Thatcher, bardzo nas wspierająca w sprawie granicznej. Najtwardsi byli Japończycy, którzy w ogóle uważają, co często powtarzał Miazowiecki – że jak ktoś nie płaci długów, to powinien popełnić harakiri, czyli rozpruć sobie brzuch mieczem. Nasze zabiegi o redukcję początkowo odbijały się jak o mur, potem zaczęto w kuluarach po cichu napomykać, że może trzeba by dla Polski znaleźć jakieś nietypowe rozwiązanie, żeby inni się nie ustawili w kolejce. Potem do rękawa mówili to prawie wszyscy, ale nikt nie chciał pierwszy przerwać oficjalnego milczenia. Wreszcie za rządów Bieleckiego, w atmosferze wojny z Irakiem i umorzenia części długu sojuszniczemu Egiptowi, Klub Paryski sprawę załatwił, decydując się nie na osiemdziesięcio- a na pięćdziesięcioprocentową redukcję, co było także wielkim sukcesem.

Co się rzuca w oczy będącemu pierwszy raz w Stanach?

Zaniedbana nawierzchnia ulic w centrum Nowego Jorku, okropne czynszowe dzielnice Chicago w drodze z lotniska, chyba z lat trzydziestych lub wcześniej – miażdżący dowód, że wolny rynek nie wszystko dobrze załatwia. Co jeszcze? Patriotyzm. Nigdzie nie widziałem, żeby kilkutyśniczna sala śpiewała z takim nabożeństwem hymn narodowy; manifestowana duma z bycia Amerykaninem, nawet ślady kultu armii; dalej – nastawienie na sukces. Nawet jak idzie źle, nie

wypada biadolić. Pod tym względem Polska to przeciwieństwo, to kraj jęku narodowego. W 1990 roku słyszałem takich, co jęczeli i złorzeczyli rządowi, a zarobili miliardy. Amerykańska kuchnia to dno. Wszystko oddzielne i na wpół surowe, żeby było zdrowsze, do tego niezły sok pomarańczowy. I jeszcze jedno – wszędzie można spotkać krajanów. Wychodzę z hotelu w środku Manhattanu i słyszę:

- Waldek Kuczyński? Co za spotkanie! _

Jakiś elegant a la Wall Street w moim wieku.

- Co to, nie pamiętasz mnie? Lejb Fogelman jestem. Z Warszawy!

Butik z Fabrykami.

- Trzynastego lipca Sejm uchwalił ustawę o prywatyzacji przedsiębiorstw państwowych i ustawę o utworzeniu urzędu ministra przekształceń własnościowych. Czy Pan szykował się na to stanowisko?

- Nie szykowałem się, natomiast szukałem kandydata na pierwszego ministra przekształceń własnościowych.

- Wydawało się, że naturalnym kandydatem powinien być Krzysztof Lis, pełnomocnik rządu do spraw przekształceń własnościowych. To on i stworzony przez niego zespół przygotowali ustawy prywatyzacyjne.

- I Krzysztof byłby pierwszym kandydatem na to stanowisko, mimo że Balcerowicz już wtedy się temu sprzeciwiał. Uważał, że Lis przez swoją anglosaską pedanterię będzie prywatyzację hamował. Nie to jednak pogrążyło Krzysztofa, lecz bardzo wiele krytyk, jakie na niego spadły w czasie ślimaczących się kilka miesięcy prac sejmowych nad ustawami prywatyzacyjnymi. Lis wyszedł z tego sejmowego

kurnika bardzo podziobany. Sondáže, jakie przeprowadziliśmy na Wiejskiej, wskazywały, że jego kandydatura może zostać odrzucona, tymczasem Mazowiecki nie mógł sobie na to pozwolić, bo wcześniej już mu odrzucono Balazsa i nie przyjęto jego wniosku o odwołanie ministra łączności. Kandydat na ministra przekształceń własnościowych musiał być pewniakiem. Ustawy weszły w życie od pierwszego sierpnia. Pozostawał miesiąc na znalezienie kogoś, bo w sierpniu Sejm miał wakacje.

- Dlaczego według Mazowieckiego Pan najlepiej się nadawał na to stanowisko?

- Po pierwsze, ze względu na mój ścisły z nim związek. Posyłając na to stanowisko jedną z najbliższych sobie osób, premier dawał sygnał, że prywatyzację uważa za sprawę, do której przywiązuje osobiście wielką wagę. Na pewno znaczenie miało to, że jestem ekonomistą, ale bez wyraźnego wyspecjalizowania w prywatyzacji. Tu działała zasada, że prowadzenia wojny nie powierza się tylko wojskowym. Przemawiał też za mną trening polityczny i – jak twierdził szef – uczulenie na drażliwą społeczną materię prywatyzacji, a także pewne zdolności do rozładowywania sytuacji konfliktowych.

- Jak Pan przyjął propozycję objęcia ministerstwa?

- Była to mieszanka strachu, ekscytacji i ducha dyscypliny. Bałem się tej roboty, ciekawiło mnie, jak sobie dam radę i wiedziałem, że muszę pomóc kapitanowi drużyny. Żeby to wszystko ułożyło się po kolei, wieczorem pociągnąłem solidnie z butelki. Potem była normalna procedura. Postawiłem warunek, że przechodzi ze mną Jerzy Drygalski na prywatyzację likwidacyjną.

- Co zamierzał Pan wnieść do prywatyzacji od strony koncepcyjnej?

- Przyszedłem z przekonaniem, że trzeba przejść od mówienia o prywatyzacji do robienia prywatyzacji. Ten etap przygotowawczy i tak się już przeciągał, a sytuacja ekonomiczna i polityczna w kraju wymagała pilnie, żeby duża prywatyzacja ruszyła. Nigdy nie uważałem, że prywatyzacja szybko wydobędzie gospodarkę z kryzysu, ale nie miałem wątpliwości co do tego, że trzeba ją szybko rozpocząć, bo jest ona głównym sposobem przebudowy naszej gospodarki, żeby stawała się konkurencyjna, Właśnie w niekonkurencyjności leży najważniejsza przyczyna kryzysu nie tylko gospodarki polskiej, ale gospodarek wszystkich byłych krajów komunistycznych. Kosztem wielkiego wysiłku społeczeństw komunistów zbudowali gospodarki dla mało wymagających rynków socjalistycznych, jakie stworzyli w każdym z krajów i w handlu między sobą. To były gospodarki marnotrawne, które zużywały dużo surowców, żeby wytworzyć niewiele finalnych produktów marnej jakości. Marnotrawne zużycie środków wytwarzało sztuczny w istocie popyt. Na przykład to, że energia była prawie bezpłatna, powodowało jej marnotrawne zużycie, co wywoływało konieczność rozbudowy elektrowni, a to zmuszało do budowania nowych kopalń, co z kolei pociągało rozbudowę przemysłu maszynowego, żeby tym kopalniom dostarczyć potrzebnych urządzeń, co wymagało zwiększonych dostaw energii i koło się zamykało. Przez marnotrawstwo wszyscy mieli jakieś zajęcie, nie było bezrobocia, ale kraje komunistyczne pozostawały coraz bardziej w ogonie cywilizacyjnego postępu i turyści z tych krajów jadąc na Zachód, dostawali nerwicy, widząc, jak wielką zacofaną dziurą staje się ich część Europy. I nagle sztuczny komunistyczny rynek się załamał, wręcz

zniknął, a gospodarki tych krajów stanęły wobec konieczności zarabiania pieniędzy poprzez sprzedawanie na rynku o wiele bardziej wymagającym, gdzie klient nie kupi byle czego. Można powiedzieć, że gospodarki te, przypominające wehikuły z początków ery samochodów, zostały zmuszone do wyścigów z samochodami końca dwudziestego wieku. Z tej przemiany wywołanej wprost przez upadek komunizmu w skali światowej i wobec tego niezależnej od takiego czy innego rządu, wynikają zwiększone w ostatnich latach dolegliwości ekonomiczne, jakich doświadczają społeczeństwa wszystkich byłych krajów komunistycznych, w tym społeczeństwo polskie. Żadna polityka gospodarcza nie może usunąć tych dolegliwości z dnia na dzień. Dobra polityka gospodarcza może je nieco łagodzić i przede wszystkim stwarzać perspektywę poprawy. Szybka, ale fachowa prywatyzacja jest bardzo istotną przesłanką stwarzania takiej właśnie perspektywy, jest bowiem najskuteczniejszą drogą przekształcenia części niesprawnych przedsiębiorstw, jakie odziedziczyliśmy po komunizmie, w przedsiębiorstwa, które potrafią zarabiać pieniądze na prawdziwym rynku, czyli potrafią być przedsiębiorstwami.

Do szybkiego rozpoczęcia prywatyzacji robionej fachowo zmuszał też nacisk demagogicznych pomysłów, jakie pojawiły się podczas kampanii prezydenckiej (obietowano kapitalizm w jedną noc, a także setki milionów dla każdego). Żadna fachowa prywatyzacja nie mogła oczywiście zapobiec mąceniu ludziom w głowach takimi „atrakcyjnymi” pomysłami, ale była jednak pewną przeciwwagą, bo wytrącała argument, że rząd nic nie robi w tej sprawie. Oprócz przyśpieszenia byłem też za uelastycznieniem prywatyzacji, w tym za złagodzeniem niechęci do akcjonariatu pracowniczego i w ogóle za uważniejszym słuchaniem tego, co nam z

przedsiębiorstw podpowiadano. Byłem za szeroką komercjalizacją przedsiębiorstw, żeby znieść w nich wielowładzę, chociaż nie sądziłem, że to od razu poprawi sytuację. Uważałem, że można szybciej przekazywać zarząd przedsiębiorstwa przyszłym właścicielom, na przykład pozbawiając prawa głosu akcje pozostające własnością państwa do czasu ich sprzedaży. Nigdy nie wywoływała mojego entuzjazmu prywatyzacja poprzez rozdawnictwo, ale gotów byłem ją robić, nawet na dużą skalę, w imię przyspieszenia całego procesu. Moja strategia prywatyzacji na 1991 rok była następująca: pion prywatyzacji kapitałowej Lisa i prywatyzacji likwidacyjnej Drygalskiego miały rwać do przodu, prywatyzując – tak intensywnie jak to możliwe – przedsiębiorstwa, które się zgłaszały, nawet kosztem różnych niedoróbek. Uważałem, że pewna ilość błędów jest nie do uniknięcia jako cena dynamizmu w prywatyzacji i gotów byłem na takie ryzyko. Pion analiz mnie podległy miał te błędy wyłapywać w biegu i korygować, ale tak żeby nie hamować prywatyzacji. Równocześnie pion Jędrzejczaka miał przygotować koncepcję prywatyzacji poprzez bony, którą zaczęto by uruchamiać w drugiej połowie roku. Na tych założeniach zbudowany został bardzo ambitny program, który przedłożyliśmy Sejmowi.

- A w nim piętnaście bilionów złotych z prywatyzacji. To już była fantazja?

- To był błąd wymuszony przez sytuację polityczną końca roku 1990, która stała pod znakiem przyspieszeń, ale był w tym też ślad czegoś w rodzaju prywatyzacyjnego entuzjazmu, który panował wśród moich „prywatyzatorów” i ja jemu ulegałem. Tę cyfrę opieraliśmy na programie intensywnie namawiającym ludzi do lokowania swoich oszczędności w akcjach i na odważnym zakończeniu

kilku dużych negocjacji z partnerami zagranicznymi. Nie mogę, niestety, powiedzieć, jak wielki błąd popełniłem, bo przecież to nie ja kierowałem prywatyzacją w 1991 roku. Sądzę, że nie osiągnęlibyśmy piętnastu bilionów, ale to nie znaczy, że osiągnęlibyśmy tyle, ile ostatecznie budżet zarobił. To już nie jest do udowodnienia. Lewandowski pozostawił w swoim programie te piętnaście bilionów, choć nie musiał. Akceptując je, wziął odpowiedzialność za ciąg dalszy. Wszystko to nie zmienia faktu, że planowane przychody przekroczyły granice możliwości, przyznaję, o ile – nie wiem.

- Jaką sytuację zastał Pan w obejmowanym resorcie?

- Zjawiłem się do pracy w poniedziałek siedemnastego września przy ulicy Mysiej 5, w budynku po Urzędzie Kontroli Prasy. Gabinet miałem bezpośrednio po Lisie, a pośrednio po głównym cenzorze. Zespół mi się podobał. Była dużo młodych ludzi tuż lub niedawno po studiach, czasami ściągniętych z firm konsultacyjnych, świetnie wykształconych, znających języki obce. Przyszli tu do pracy mimo o wiele gorszych zarobków, żeby uczestniczyć w przygodzie, w dużej sprawie. Ci po studiach liczyli, że zdobędą tu zawód, co potem im zaprocentuje. W tym ministerstwie słyszało się angielski tak często jak polski, było sporo specjalistów zachodnich.

Zostałem ukształtowaną strukturę kierowania i chcąc jak najszybciej zacząć prywatyzację, postanowiłem nie wywracać jej, lecz wziąć za podstawę tworzonego ministerstwa. Początkowo czułem rezerwę ze strony pracowników, którzy oczekiwali, że szefem pozostanie Lis, ale ja wnosiłem ważny atut – byłem blisko z premierem, mogłem osłonić ministerstwo przed ingerencjami z zewnątrz. Wszyscy

mieli dość coraz to nowych pomysłów i zaleceń spływających z Ministerstwa Finansów, od samego Balcerowicza i od jego doradców.

- *Nie przeprowadził Pan żadnych zmian personalnych?*

- Wprowadziłem Jerzego Drygalskiego na stanowisko wiceministra od prywatyzacji likwidacyjnej i mianowałem dyrektorem gabinetu moją współpracownicę z URM – Małgorzatę Zajączkowską. Małgosia to był nowy styl i talent biurokratyczny w najlepszym tego słowa znaczeniu; lubiano ją i bano się jej. Reszta to było potwierdzenie stanu rzeczy.

- *Pamięta Pan swoje pierwsze decyzje?*

- Najpierwą było opracowanie schematu organizacyjnego, bo ministerstwo formalnie nie istniało. Schemat musiała zatwierdzić Rada Ministrów, żeby można było ustalić etaty i obliczyć płace. Po wielogodzinnej dyskusji z rysowaniem na tablicy powstała struktura, w której dopiero później zauważyłem odbicie Lisowskiej koncepcji prywatyzacji na modłę pani Thatcher. Utworzyliśmy pion wielkiej, kapitałowej prywatyzacji, kierowany przez Krzysztofa Lisa, z dwoma departamentami: Jacka Chwedoruka i Jacka Kwaśniewskiego; pion prywatyzacji likwidacyjnej Jerzego Drygalskiego, do jego przyścia kierowany przez Jacka Bukowskiego; pion prawny Wojciecha Góralczyka, w którym była też reprivatyzacja i prywatyzacja mienia komunalnego i spółdzielczego, wreszcie pion rynku kapitałowego kierowany przez Grzegorza Jędrzejczaka. Tu był Departament Giełdy Wiesława Rozłuckiego i Komisja Papierów Wartościowych Lesława Pagi. Oni mieli też zająć się funduszami wspólnego inwestowania i prywatyzacją przez bony. Przewidzieliśmy też pion komercjalizacji, ale na razie nie było kandydata na

jego szefa. W gabinecie ministra miały być dwie komórki sztabowe: grupa doradców i zespół analiz prywatyzacji. Pion komercjalizacji i te dwie komórki nie powstały, bo wkrótce rząd podał się do dymisji. W sumie ministerstwo miało mieć jednego sekretarza stanu, trzech podsekretarzy, jednego dyrektora generalnego i docelowo 429 pracowników. W zasadniczych zarysach ta struktura przetrwała za Lewandowskiego. Poleciałem, żeby jak najszybciej zatrudniono personel i to z dobrymi kwalifikacjami. Rozgrzeszyłem nawet ewentualne przekroczenie limitu funduszu płac. Sądziłem, że potrafię to usprawiedliwić. Chciałem, żeby ministerstwo stało się jak najszybciej zdolne do działania pełną parą. Powołałem kolegium złożone z wiceministrów i dyrektorów departamentów, które obradowało co tydzień pod moim kierownictwem. Poleciałem, by sprzedaż pierwszych pięciu przedsiębiorstw rozpoczęła się nie później niż piętnastego listopada 1990 roku. Były bowiem pomysły, żeby ją odłożyć. Zwróciłem się też do odpowiednich władz o zabezpieczenie, by ministerstwo nie było – jeśli tak można powiedzieć – zbyt łatwo penetrowalne przez niepowołanych.

- Pytanie dla historii: jak by Pan scharakteryzował tych pierwszych „prywatyzatorów”?

- **O Krzysztofie Lisie** mówiłem, dodałbym, że gdyby go ubrać w pumpki oraz marynarkę i czapkę z tweedu, to ze swoją fajką wyglądałby jak przedwojenny harwardczyk. Wysoki, szczupły blondyn, więc można by mu jeszcze dorobić pochodzenie normandzkie.

O Jurku Drygalskim też sporo powiedziałem, dodałbym, że rzadko kto dorównałby mu w umiejętności panowania nad problemami organizacyjnymi o

wielkiej skali i bardzo złożonej strukturze.

Wojtek Góralczyk– dobrze wykształcony prawnik, wzór urzędnika wysokiej rangi, choć może z pewnym nadmiarem miękkości, francuska ogłada, jeden z nielicznych polskich „enarków”, czyli absolwentów bardzo prestiżowej francuskiej ENA (Narodowa Szkoła Administracji).

Grzegorz Jędrzejczak– dobrze obeznany z instytucjami rynku kapitałowego, precyzyjny, zdyscyplinowany, nieco angielskiej flegmy, perfekcjonizm zawodowy, w świecie normalnym – cnota, w Polsce 1990 roku czasami bywał zawadą.

Lesław Paga– cerber pilnujący, żeby na giełdowe salony nie dostał się byle kto, lekko zaokrąglony, elegant, świetnie wyglądał z cygarem, idealnie pasujący do wystawnych wnętrz świata finansów.

Wiesław Rozłucki– szczupły, z wąsikami, mózg i oko nieruchomo utkwione w giełdę, wtedy – jesienią 1990 roku – w tę, która miała stać się za kilka miesięcy, konstruowaną bardzo metodycznie i konsekwentnie. I stała się.

Jacek Chwedoruk– wielki, masywny, niespełna trzydziestolatek, który mówił „jak stary”, po dobrym zachodnim treningu, ale bez żadnego szacunku dla procedur biurokratycznych, co miało swoje złe strony. To on trzymał cugle prywatyzacji pierwszej piątki.

Jacek Kwaśniewski – selekcionował firmy do prywatyzacji, dobry ekonomista, wyćwiczony w negocjacjach z załogami i posłami, pracowity, ale bałaganiarz, raczej intelektualista lub wolny zawód niż urzędnik.

Jacek Bukowski – gaduła i pasjonat, ale bardzo, bardzo oddany robocie, pracowity i skuteczny.

- Podobno na zapoznawczą lampkę wina przyniósł Pan butelkę japońskiej sake?

- Butelkę, i to dość dużą, najprawdziwszej sake z paroma oryginalnymi czarkami. Prywatyzacja to było karkołomne zajęcie: sprzedawanie czegoś, co nie wiadomo jaką ma wartość, komuś, kto nie ma pieniędzy, przez kogoś, kto tego nigdy wcześniej nie robił. Na dodatek wokół pełno było narodowych psów ogrodnika – lepiej żeby przedsiębiorstwo zbankrutowało i ludzie poszli na bruk niż oddać je obcemu „za tanio”. Inna klasa to „detektywi”, wiedzący zawsze na mur beton, że za to ten wziął tyle, a tamten tyle i że biorą wszyscy. Ci ludzie robili społeczeństwu kompletną wodę z mózgu, wmawiając na przykład horrendalne kłamstwo o Polsce rozdrapywanej przez obcych. A prawda jest taka, że tu niewielu chce przyjść i inwestować. I to jest problem. Nie rozdrapią nas. Oleją nas. Prywatyzowanie w takich warunkach i w takim klimacie to zajęcie samobójcze, zajęcie dla kamikadze. Jak wiadomo, przed lotem wypijali oni czarę sake, stąd pomysł. Nie wiedziałem, gdzie tę sake kupić, ale pomógł mi szef gabinetu premiera, mający różne „dojścia”. Myślę, że to przyjęcie przełamało lody między mną i zespołem.

- Opracowaliście schemat organizacyjny i statut ministerstwa, zatwierdziła to Rada Ministrów i co dalej?

- Były dziesiątki spraw ważnych i kilka superważnych, i jedna właściwie nie najważniejsza dla toku prywatyzacji, ale za to bardzo pilna – przygotowanie dla Sejmu „Kierunków prywatyzacji w roku 1990”, do czego zobowiązywała nas ustawa. Miały być one złożone Izbie do 30 września. Poprawiając w kwietniu w

wąskim gronie u premiera projekt ustawy prywatyzacyjnej, usunęliśmy Radę Majałku Narodowego, która miała podlegać Sejmowi i nadzorować prywatyzację. Żeby Sejm nie poczuł się pominięty, wprowadziliśmy zasadę, że co roku rząd będzie przedkładał do zatwierdzenia kierunki prywatyzacji i rozdysponowanie oczekiwanych z niej przychodów. To miała być formalność, raczej ogólny dokument i równie ogólny szacunek dochodów. Z przespiegów na Wiejskiej wynikało jednak, że posłowie będą żądali szczegółowego dokumentu, a prawie każdy z nich co innego w nim widział. Rok się kończył, można więc było napisać tylko o pracach zrobionych i kontynuowanych. Sporządziliśmy suche sprawozdanie i to suche sprawozdanie zostało bardzo emocjonalnie zaatakowane na Radzie Ministrów przez Leszka Balcerowicza, że „nie ma oddechu”. Te emocje świadczyły, że Leszek „nie strawił” jeszcze mojej nominacji. Gdy chodzi o brak „oddechu”, miał rację, więc dopisałem ten „oddech”, co go udobruchało. Tak uzupełnione „Kierunki prywatyzacji...” poszły pod nóż sejmowej Komisji Przekształceń Własnościowych, która z kolei „oddech” uznała za niepotrzebny, za to wytknęła brak szeregu konkretów. W końcu „Kierunki...” – po zwyczajowej ilości kwaśnych grymasów wobec rządu i ministra – zostały przez Izbę zatwierdzone, ku mojej wielkiej uldze, bo uważałem to za czystą stratę czasu, podczas gdy w kolejce stało wiele spraw. Wśród nich był obowiązek przedłożenia Sejmowi przez Radę Ministrów wraz z budżetem i założeniami polityki gospodarczej także „Kierunków prywatyzacji na rok 1991”.

- Jak powstał rządowy program prywatyzacji na rok 1991?

- Miałem z nim sporo kłopotu. Jeszcze jako doradca premiera uczestniczyłem

w dyskusjach na ten temat organizowanych przez Balcerowicza. Gdy zostałem ministrem, dyskusje o prywatyzacji przeniosły się do ministerstwa. Szefom pionów poleciłem przygotowanie swoich programów i poprosiłem inne ministerstwa o przysyłaniu ich planów prywatyzacyjnych na rok 1991. Materiały przysłyły różne. Największe problemy były z pionem Lisa, czyli z najważniejszym, najbardziej widocznym polem prywatyzacji. Do programu musiała być wprowadzona koncepcja prywatyzacji przez rozdawnictwo, której Lis i jego współpracownicy byli przeciwni, a dotyczyła ich działki. Wyczuwałem z ich strony bierny opór i wiedziałem, że nie ma sensu go łamać, bo wbrew sobie nic nie zrobią. Powołałem więc zespół częściowo z osób z zewnątrz. Weszli do niego: mój doradca Jan Lisowski, Irena Grosfeld, badająca we francuskim prestiżowym ośrodku ekonomicznym „Alfa” prywatyzację w Europie Centralnej, Stanisław Wellisz – profesor Uniwersytetu Columbia w USA, Bulten Gultekin – inny mój doradca, profesor uniwersytetu z Filadelfii, Turek z pochodzenia, mający doświadczenie z prywatyzacją w Turcji. Do zespołu dołączyli: Jeff Sachs, który akurat był w Polsce, i Stanisław Gomułka. Wszyscy pojechali gdzieś pod Warszawę i mieli wrócić z gotowym tekstem. Rano pytam kierowcę, który zawoził im materiały, co tam słyszał? „Panie Ministrze, oni się strasznie żrą”. Włosy mi stanęły dęba. Dzwonię, pytam, co się dzieje? Nic, pożarli się intelektualnie Gultekin i Sachs, ale już przez to przeszli i piszemy pierwszą wersję tekstu – brzmiała odpowiedź. Kłótnia była oczywiście o koncepcję rozdawnictwa. Bulten był bliższy poglądom Lisa. Ostatecznie ustalili, że 450 dużych przedsiębiorstw zostanie zamienionych w spółki akcyjne, a potem akcje zostaną przydzielone załogom – 20% (za pół ceny),

funduszom ubezpieczeniowym – 20%, bankom inwestycyjnym – 10%; państwo zachowa 20%, a pozostałe 30% zostanie rozprowadzone bezpłatnie między wszystkich obywateli. Nie chcę tu wdawać się w nużące szczegóły. Koncepcja była imponująca rozmachem, wręcz porywająca, ale zewsząd pojawiały się znaki zapytania i wszędzie mogły się kryć pułapki. Lis i jego szwadron rzucili się na pomysł z nożami, coś tam pozmieniano, ale w ostateczności program był gotów, został zaakceptowany przez Radę Ministrów i na tym skończył się jego żywot, bo powstał nowy rząd. Wcześniej poleciłem, by znaleziono zachodnich specjalistów, którzy by opracowali koncepcję rozdawnictwa w szczegółach. Gotów byłem te oszałamiające pomysły realizować, ale dopiero po przełożeniu ich na szczegóły i po gruntownej symulacji rezultatów, jakie mogły spowodować.

- Na razie jednak mieliście przed sobą publiczną sprzedaż akcji pierwszych pięciu przedsiębiorstw.

- Było to przedsięwzięcie robione na tak wielką skalę pierwszy raz w tej części świata. W obieg szło prawie cztery i pół miliona akcji, prywatyzowano majątek o kapitale wartości pół biliona złotych. Przygotowanie tego przedsięwzięcia wymagało przewyciężenia setek problemów. Niemało z nich stworzono gratisowo przez demagogię belwederskiego wyścigu. Ludzie z polsko-angielskiego zespołu pracowali jak mrówki, nie licząc godzin. Wreszcie ruszyło.

Rano pierwszego dnia sprzedaży zjawili się u mnie rozradowani i podekscytowani eksperci angielscy. Żadne tam młode szczeniaki, poważni panowie, którzy robili tę robotę od dawna, ale pierwszy raz na Wschodzie, gdzie po komunizmie zostało jeszcze ciepłe miejsce. Dla nich to było przeżycie,

zaproprowali, byśmy razem poszli do pobliskiego banku zobaczyć, jak idzie sprzedaż. Był spory tłumek, poznano mnie i... zarzucano dziesiątkami pretensji: że za mało prospektów, że za mało jest banków sprzedających akcje, że obsługa trwa długo, że zamraza się pieniądze na miesiąc, a państwo nie daje procentu i tak dalej. Anglicy nic nie rozumieli: jak to, od razu ma być jak w szwajcarskim zegarku? A ile czasu Szwajcarzy te zegarki udoskonalali? Dwieście okienek, w których sprzedawano akcje, to było maksimum tego, co udało się wtedy zorganizować. Banki się nie pchały, trzeba było przeszkolić personel, a brakowało pieniędzy, również na druk wystarczającej ilości prospektów. Obsługa trwała, bo płacono obligacjami, do czego rząd zobowiązał się jeszcze jesienią 1989 roku. Były i inne potknięcia, które posłużyły do nauki i później sprzedaż szła już sprawniej.

- W kampanii reklamowej wołano: kupujcie akcje „pierwszej piątki na piątkę.” Czy z pewnej już dziś perspektywy powtórzyłby Pan to reklamowe określenie?

- Reklama nie powinna kłamać, natomiast ma prawo do pewnej przesady, dlatego do każdej reklamy trzeba podchodzić z dozą rezerwy. My nie mówiliśmy, że to było pięć najlepszych polskich przedsiębiorstw. W warunkach 1990 roku to były dobre przedsiębiorstwa i na dłuższą metę również mają one szansę takimi być. W 1991 roku przeżywały – jak cały przemysł – bardzo trudny czas i to jest jeden z powodów, że kurs ich akcji spadł znacznie poniżej ceny emisyjnej, z wyjątkiem „Exbudu”. Nabywcy akcji „Exbudu” zrobili na tym doskonały interes. Ale nie tylko zła koniunktura ogólna miała wpływ. Na przykładzie pierwszej piątki potwierdza się teza, że przedsiębiorstwo sprywatyzowane i przedsiębiorstwo prywatne to nie to

samo. „Exbud” założony przez dyrektora Witolda Zaraskę właściwie zawsze był przedsiębiorstwem prywatnym, jedynie przebrany w drelich firmy państwowej. Dla niego prywatyzacja to było tylko zrzucenie drelicha. Pozostałe przedsiębiorstwa były firmami państwowymi i dla nich prywatyzacja to nie było zrzucenie drelicha firmy państwowej, lecz wciśnięcie się w strój firmy prywatnej. Trzeba czasu, żeby one potrafiły w nim sprawnie się poruszać. Jestem pewien, że potrafią i że w dłuższym okresie nabywcy ich akcji nie będą tak srodze zawiedzeni, jak mogą się czuć na początku 1992 roku.

- Sprzedawaliście po raz pierwszy szerokiej publiczności akcje, czyli coś co było zupełnie jej nie znane lub prawie nie znane. Trzeba więc było to zareklamować i rzeczywiście kampanię reklamową było widać, a powiedzenie: „poznaj siłę swoich pieniędzy” weszło do potocznego języka, chociaż częściej w znaczeniu ironicznym: poznaj ich siłę, zobaczysz jak jest niewielka. Ale kampania reklamowa spotkała się też z różnymi zarzutami. Może by więc Pan powiedział, jak ona była organizowana?

- Jak powiedziałem, jedną z pierwszych moich decyzji było ustalenie na 15 listopada początku publicznej sprzedaży akcji pięciu przedsiębiorstw państwowych w drodze oferty publicznej. Chodziło o to, żeby sprzedaż rozpocząć wystarczająco długo przed świętami Bożego Narodzenia. Pewne znaczenie miała również kampania wyborcza, ale nie przesądzające. Ostatecznie bowiem przesunęliśmy termin na 30 listopada, a więc sprzedaż zaczęła się już po zgłoszeniu przez premiera dymisji rządu.

- Dlaczego przesunęliście termin na koniec listopada?

- Powstały różne problemy: coś poprawiano w prospektach informujących nabywców akcji o przedsiębiorstwach, co odwlekało ich druk; weto Jaruzelskiego wobec ustawy o gruntach zablokowało niemal prywatyzację, bo angielskie firmy konsultacyjne nie chciały podpisać prospektów; nie było jasne, co będzie z ziemią, na której stały fabryki i tak dalej. Gdzieś koło dziesiątego października zapytałem, jak z reklamą. Była jakaś mała polska firma, która miała reklamować lokalnie Krośnieńskie Huty Szkła. Anglicy, do których się zwracaliśmy, obiecali, chociaż wyraźnie nie byli tym zainteresowani, przysłanie dwóch ekspertów na kilka dni. Wezwałem szefową Biura Promocji i powiedziałem, żeby znalazła jakąś firmę, która mogłaby udźwignąć dużą kampanię reklamową. Po kilku dniach przyprowadziła Francuzów z firmy „Creapriv”, wchodzącej – jak powiedzieli – do struktury wielkiego państwowego holdingu „Hawas”, który znałem. Pokazali „hawasowskie” plansze z kilku reklam prywatyzacyjnych we Francji. Szefowa Biura Promocji bardzo ich polecała; prace nad reklamą nie mogły być odłożone ani o dzień. Podpisałem więc list intencyjny i wstępny kontrakt, wezwawszy uprzednio prawników z Ministerstwa Finansów i z Ministerstwa Współpracy Gospodarczej z Zagranicą, aby go obejrzeni. Uznali, że jest zgodny ze standardami. Po tym wszystkim konsternacja, okazało się, że „Creapriv” nie wchodzi do grupy „Hawas” i jest nową firmą, która dopiero złożyła w Paryżu dokumenty rejestracyjne. Obrugałem szefową Biura Promocji i Francuzów, następnie skontaktowaliśmy się z firmą „Eurofi”, wchodzącą w skład „Hawas”. Potwierdziła, że „Creapriv” jest w kontakcie z nimi i że gotowi są zabezpieczyć nadzór merytoryczny nad kampanią. W tej sytuacji i po rozmowie z panem de Chalendar – przewodniczącym Fundacji

France-Pologne, który dorzucił pół miliona franków jako dar na szkolenie polskich specjalistów od reklamy, podpisałem kontrakt. Miałem wybór: albo robić przetarg, co trwałoby ze dwa tygodnie i wtedy nie byłoby prywatyzacji w 1990 roku, albo iść na skróty po to, żeby zacząć ją jeszcze w bieżącym roku. Wybrałem przyspieszenie, bo w tamtej sytuacji innego wyjścia nie miałem. Moim zdaniem „Creapriv” zrobił kampanię reklamową pierwszej piątki sprawnie i dobrze. A gdy chodzi o siłę pieniędzy, to jest ona tym większa, im wydajniejszy i im bardziej konkurencyjny jest dany kraj. Siła złotego jest niewielka, bo jesteśmy mało wydajni i niekonkurencyjni.

- Był Pan ministrem przekształceń własnościowych od połowy września 1990 roku do początku stycznia 1991 roku, a więc krótko. Jak by Pan ocenił postępy prywatyzacji w tym czasie?

- Urzędowałem do początku stycznia. Pełnosprawnym ministrem byłem do 26 listopada, do zgłoszenia dymisji rządu przez premiera. Miałem ciągle pełnię uprawnień, ale zdolność do ich egzekwowania raptownie spadła. W każdym państwie wyższy aparat urzędniczy w takiej sytuacji zaczyna się zachowywać ostrożnie, myśląc o dobrych stosunkach z tymi, którzy nadchodzą. To bardzo zmniejsza skuteczność działania „ministrów w dymisji”. Ale weźmy cały ten okres do podsumowania. Powstało ministerstwo, w którym zatrudnienie wzrosło z 58 do 193 osób. Sprywatyzowaliśmy siedem pierwszych przedsiębiorstw, w tym pięć przez pierwszą wtedy w Europie Centralnej tak dużą sprzedaż publiczną. Następnym siedem przygotowaliśmy do sprzedaży w I kwartale 1991 roku, do czego nie doszło. Zamieniliśmy

w spółki skarbu państwa (skomercjalizowaliśmy) 30 przedsiębiorstw dających 2% produkcji sektora państwowego. Sprywatyzowaliśmy w drodze tak zwanej likwidacji ponad trzydzieści drobnych przedsiębiorstw. Przyjęta została przez Sejm ustawa o obrocie papierami wartościowymi konstytuująca rynek kapitałowy w Polsce. Podpisano umowy z Towarzystwami Giełd Francuskich o współpracy przy tworzeniu Giełdy Warszawskiej, ustalono lokalizację giełdy w gmachu KC PZPR. Rozpoczęto prace nad prywatyzacją sektorową, nad utworzeniem funduszy wspólnego inwestowania i nad prywatyzacją masową poprzez rozdawnictwo. Pomijam dziesiątki drobniejszych, mało widocznych prac, bez których jednak nie jest możliwa żadna akcja o większej skali. Chciałbym jeszcze, kończąc to podsumowanie, wrócić do sceny, gdy pierwszego dnia sprzedaży akcji „piątki” tkwiłem w banku wśród poirytowanych kandydatów na akcjonariuszy. Doskonale rozumiałem ich irytację, ale był to jeszcze jeden przykład, jak wiele należałoby zrobić, aby społeczeństwu uzmysłwić, że tworzenie nowej rzeczywistości politycznej, a jeszcze bardziej gospodarczej, jest mozolne, że wymaga czasu, a jej pierwsze kształty prawne i instytucjonalne nie mogą być od razu, od pierwszego podejścia sprawne. Przeciwnie, zwykle są niedoskonałe i rodzą wiele zjawisk szkodliwych. Jest to naturalny porządek życia, dzięki któremu możemy swoje twory udoskonalać. Nie może być w Polsce po dwóch latach zmian sprawnego systemu bankowego, szczelnego systemu podatkowego, subtelnej interwencji państwa i tak dalej. Będzie to powstawało latami, szybciej lub wolniej, lepiej lub gorzej, zależnie od tego, jak utalentowanym i przysposobionym do demokracji i gospodarki rynkowej narodem się okazemy. Jeżeli nie zrozumiemy i nie uznamy

tego naturalnego porządku rzeczy, to niedoskonałości świeżych instytucji politycznych i gospodarczych, i wynikające stąd patologie, wywołają niecierpliwe i niszczyielskie reakcje społeczne. W rezultacie nie tylko nie udoskonalimy tego, co zaczęliśmy tworzyć, ale możemy zniszczyć to, co już powstało.

Dymisja rządu.

- Powiedział Pan, że zostanie prezydentem nie było szczytem marzeń Mazowieckiego. Dlaczego wobec tego zdecydował się o to stanowisko ubiegać?

- Mazowiecki w ogóle nie pragnął tego stanowiska. Po pierwsze, dlatego że jego wyobrażenia o najlepszym ustroju krążyły raczej wokół instytucji parlamentu i rządu, a nie prezydenta. Zdaniem Tadeusza idealna sytuacja byłaby wtedy, gdyby istniało kilka dużych partii politycznych wyłonionych przez społeczeństwo, które umie się dogadywać między sobą, zawierać kompromisy, współżyć w wielkich rodzinach politycznych, tolerując ich wewnętrzne zróżnicowanie. Z takiego społeczeństwa i z takiej sceny politycznej można by wyłonić nierozdrobniony parlament i ten parlament wyłaniałby z kolei stabilne rządy, które byłyby głównym ośrodkiem codziennego rządzenia. Mazowiecki uważał, że właściwym dla niego miejscem były Aleje Ujazdowskie a nie Belweder i najbardziej odpowiadałoby mu, gdyby mógł w nich pozostać. Nie chciał konfrontacji z Wałęsą, i ze względu na niszczyielskie skutki polityczne dla nich obu, i dla „Solidarności”, i dla kraju, ale – jak sądzę – także dlatego, że jej się po prostu obawiał. Wiedział, że będzie to konkurs demagogii wobec milionów ludzi i widział zarówno swoje braki, jak i talenty Wałęsy w takich sytuacjach. Dlaczego więc się zdecydował? Oczywiście najlepiej on sam na to odpowie. Moja interpretacja jest następująca: skoro znacznie

wcześniej Mazowiecki nie uznał za celowe wyraźnego poparcia prezydenckich aspiracji Wałęsy, to było zrozumiałe, że doszło między nimi do konfliktu i że głównym polem bitwy stała się polityka rządu Mazowieckiego, co zmusiło premiera do jej obrony poprzez stanięcie z Lechem w szranki o Belweder, przy czym obrona wcale nie wymagała pokonania Wałęsy. Gdyby Mazowiecki przegrał z nim niewielką różnicą głosów, powstałaby sytuacja umożliwiająca mu kontynuację misji rządowej. Taka niewysoka przegrana byłaby bowiem świadectwem, że choć Lech ma przewagę, to jednak premier zachowuje solidne oparcie w społeczeństwie. Po takiej przegranej rząd by się do dymisji nie podał, a Wałęsie byłoby trudno zdymisjonować go z własnej inicjatywy.

- Gdzie Pana dosięgła wiadomość o porażce Mazowieckiego?

- W lokalu sztabu wyborczego w Alejach Jerozolimskich, tam gdzie następnie zainstalowało się krajowe Biuro Unii Demokratycznej. Już późniejszym popołudniem zaczęły nadchodzić niepokojące przecieki, a wiadomo było, że ostatnie sondaże także były złe. O ósmej wieczorem, w pokoju nabitym ludźmi, wraz z wieloma znakomitościami wokół mnie, wpatrywałem się w ekran telewizora, a na nim wspiął się szybko, ale nie pod niebiosa, słupek Wałęsy. Potem Mazowiecki – szybkie cięcie na osiemnastu procentach i oto piął się słupek Tymińskiego, a kiedy minął osiemnaście procent, w pokoju rozległ się – mogę tak chyba powiedzieć ze względu na znakomitości tam wtedy obecne – jęk zawodu Polski i elit nad wyborem dokonany przez Polskę daleką od metropolii.

Mazowieckiego nie było, schował się w Laskach u zakonnic opiekujących się niewidomymi dziećmi. On tam zawsze udawał się po spokój ducha i na naradę z

„najwyższym szefem”. Pojawił się późno. Przepychając się przez tłum do głównego pokoju, w którym miał złożyć oświadczenie, ofuknął jakiegoś dziennikarza. Czułem, jak trudny jest to dla niego moment. Udało mi się docisnąć do niego; „Tadeusz, o jednym nie zapomnij, wezwij ludzi, którzy na ciebie głosowali, wezwij swój elektorat, żeby się nie rozbiegał, żeby pozostał z tobą, bo walka trwa. Powiedz dosłownie – ze dwa razy to powtórzyłem – zostańcie ze mną. To bardzo ważne.”

Było jasne, że ten moment, tak trudny dla Mazowieckiego, jest równie trudny dla tych setek tysięcy ludzi, którzy oddali na niego głos, na premiera, który prowadził tak trudną politykę. Uważałem, że to jest najbardziej racjonalny elektorat Polski i nie wolno dopuścić do jego rozproszenia. Ten moment rozczarowania i zawodu trzeba było wykorzystać i przekazać wyraźny sygnał: „Premier jest z wami, bądźcie z nim”. Jak się później zorientowaliśmy, ten apel był potrzebny, został przyjęty z ogromną ulgą przez ludzi, którzy walczyli o wybór Mazowieckiego. Można powiedzieć, że wtedy poczęta została Unia Demokratyczna. Potem był długi i bardzo ciężki poród, ale na razie kończył się wieczór wyborczy, byliśmy w szoku, mieliśmy dosyć polityki. Poszliśmy do studenckiego klubu „Hybrydy”, gdzie w towarzystwie świetnej młodzieży: studentów i uroczych studentek spędziliśmy wiele godzin przy winie i tańcach. Tak minął ten czarny dla nas dzień. Było jasne, że skończył się również czas rządu Tadeusza Mazowieckiego. Żaden z nas nie miał co do tego wątpliwości. Następnego dnia premier zgłosił dymisję rządu.

- Mówiono jednak, że rząd się podał do dymisji tak pospiesznie, bo obraziliście się na społeczeństwo?

- Ta decyzja była oczywiście uwikłana w emocje wywołane przez to, co stało

się dzień wcześniej. Nie one jednak zadecydowały, i to podkreślam. Nie wyobrażaliśmy sobie, że moglibyśmy pozostać u władzy w sytuacji, gdy społeczeństwo dawało wyraźny sygnał dezaprobaty w postaci trzeciego miejsca premiera, a ponadto rząd i jego działania zostały zdyskredytowane przez demagogiczną kampanię wyborczą, która była pojedyńkiem pięciu na jednego. Uważaliśmy, że kontynuowanie dotychczasowej polityki przez premiera pokonanego, a potem utrzymanego na urzędzie przez zwycięskiego Wałęsę nie będzie możliwe. Z własnej inicjatywy, dwudziestego szóstego listopada od rana zacząłem pisać projekt wystąpienia premiera podającego rząd do dymisji. Tego samego dnia odbyła się dyskusja z udziałem szefa i jego najbliższych współpracowników. Czas pilił, premier musiał wystąpić w głównym wydaniu wiadomości telewizyjnych. Początkowo był on za zapowiedzeniem, a nie za ogłaszaniem dymisji rządu. Przekonaliśmy go jednak do bardziej stanowczego posunięcia. Uważaliśmy, że nie wolno tkwić w niejasnej sytuacji, która mogłaby sprzyjać zarzuceniu nam, że po zajęciu stanowisk państwowych poprzyrastaliśmy do foteli, jak zdarzało się tym, którzy rządzili wcześniej. Najważniejsze jednak było to, że podając się do dymisji następnego dnia po wyborach, przekazywaliśmy wyrazisty sygnał, że kartka wyborcza od tej pory ma swoją moc, że wybory nie są pustym aktem, po którym nic się nie zmienia, lecz że są momentem, kiedy obywatel poprzez własną decyzję podjętą za kotarą kształtuje skład władz państwa. Z perspektywy czasu uważam, że ta decyzja była słuszna, powiem nawet, że jestem z tego dumny, że rząd odszedł w taki właśnie sposób, nie dając powodów do przypuszczeń, że pozostanie w luksusowych gabinetach liczyło się dla nas bardziej niż werdykt wyborców.

Odeszliśmy z tych gabinetów dobrowolnie, bo przecież mogliśmy rozpocząć dwuznaczną, mętną grę o pozostanie. Wałęsy wcale nie rozradowało to, że Mazowiecki ustępuje z pola.

Podanie się do dymisji nie oznaczało, że przestajemy urzędować. Stery państwa trzymaliśmy do czasu utworzenia rządu Jana Krzysztofa Bieleckiego. Przez moment, podczas zwołanej następnego dnia Rady Ministrów, wywiązała się dyskusja, czy przedkładać Sejmowi projekt budżetu. To była sugestia z mojej strony, na którą Balcerowicz zareagował bardzo ostro i ja mu bez dalszego sporu przyznałem rację. Balcerowicz był przeciwny dymisji. Może uważał, że dla dobra sprawy trzeba, by rząd Mazowieckiego pozostał w tak złej dla tego rządu sytuacji, a może dlatego, by odchodząc nieco później, podjął niepopularne decyzje, zostawiając następcom bardziej komfortową sytuację. Pozostanie starego rządu z punktu widzenia kontynuacji planu Balcerowicza nie było jednak dobrym rozwiązaniem. Balcerowicz w ramach zmasakrowanego gabinetu, z przegranym w kampanii prezydenckiej premierem to było coś innego niż Balcerowicz w ramach nowej ekipy pobłogosławionej przez zwycięskiego Wałęsę. W tym czasie wszystkie wróble na dachu ćwierkały, że on przechodzi do nowego rządu. Mówię o wróblach na dachu, bo Leszek do końca o tym z premierem nie rozmawiał, a w czasie kampanii starannie unikał wyraźniejszego opowiedzenia się po jego stronie. Ale nie ta neutralność, lecz właśnie zupełny brak chęci, by uprzedzić Mazowieckiego o swych dalszych zamiarach, spowodował poważne ochłodzenie stosunków na linii premier-wicepremier w ostatnim okresie naszego urzędowania.

- Jak by Pan wytłumaczył porażkę Mazowieckiego? Mówi się, że zawiódł

sztab wyborczy i że kampania wyborcza była przedłużeniem nieskutecznej polityki informacyjnej Waszego rządu?

- Nie chcę oceniać ani naszej polityki informacyjnej, ani pracy sztabu wyborczego. Na ten temat napisano wiele rzeczy, słusznych i niesłusznych. Chciałbym natomiast zwrócić uwagę na okoliczności, o których mówiono mniej, a które – moim zdaniem – są ważniejsze jako przyczyny tego, co stało się 25 listopada, Zaczę od polityki informacyjnej. Rząd Bieleckiego nie informował społeczeństwa lepiej niż rząd Mazowieckiego, a Zarębski na pewno nie przekazał więcej informacji niż Małgosia Niezabitowska i myślę, że nie robił tego lepiej, a jednak hałasu o politykę informacyjną za rządów Bieleckiego nie było. Dlaczego? Bo minął największy szok wywołany przez zawalenie się świata, w którym ludzie żyli przez ostatnich kilkadziesiąt lat, znali jego reguły i zagrożenia, umieli się w nim poruszać i bronić przed niebezpieczeństwami. Ten świat zniknął prawie z dnia na dzień w 1990 roku i to był czas największego szoku. Poprzednio był krajobraz pustych sklepów, bieganiny, żeby coś zdobyć, ale w portfelu nie bywało tak straszliwie pusto. Teraz działa się odwrotnie. Poprzednio jak coś wyprodukowano, to można było spokojnie patrzeć, jak kłębią się ci, którzy chcą to kupić, teraz pęczniały magazyny i brakowało pieniędzy na wszystko. Poprzednio każdy miał zagwarantowany etat, teraz nagle można było zostać bezrobotnym. Wcześniej pracowano w firmach danych jakby na wieczność, nagle okazywało się, że one mogą zbankrutować. Czterdzieści milionów ludzi wpadło w obcość normalności, bo tak jest przecież w normalnych gospodarkach. Nie rozumieli jej, nie umieli się w niej poruszać, bali się jej i stąd ten krzyk: informujcie nas, informujcie! To był

krzyk o pomoc, o przekonanie, że samolot, w którym lecimy, nie spada, a tylko pikuje, bo tak chce pilot, który siedzi w kabinie i trzyma stery pewną ręką. Czy sprostaliśmy temu? Niezupełnie, bo pojawił się Tymiński. Poczucie bezpieczeństwa, naruszone głęboko przez wielką przemianę gospodarczą, wykorzystał on dla zahipnotyzowania części społeczeństwa prostymi odpowiedziami, dlaczego się świat zawalił i jak go postawić na nogi.

Gdy zaś chodzi o przyczyny przegranej Mazowieckiego, to – po pierwsze – przyczynił się do niej on sam, bo przystąpił do rywalizacji z Wałęsą bez przekonania, bez głębokiej wewnętrznej motywacji, że musi go pokonać, że musi wygrać. Mazowiecki bał się nie tylko przegranej, ale i wygranej, wiedział, że z tej wojny nikt nie wyjdzie prawdziwym zwycięzcą. Walczył bez ducha walki i wobec tego nie mógł zaprezentować wyborcom, kim naprawdę jest – politykiem twardym, bojowym, skutecznym. Nie mając sam przekonania, nie mógł natchnąć nim tych licznych działaczy, którzy prowadzili jego kampanię wyborczą. Słysząc wtedy głosy, że Mazowiecki zachowuje się jakby chciał przegrać i choć tak ostre sformułowanie szłoby za daleko, to jednak ślad prawdy się w nim znajdował.

Główną wszelako przyczynę porażki Mazowieckiego upatrywałbym w prowadzonej przez jego rząd polityce gospodarczej, w polityce niezbędnej, dla której nie było alternatywy odpowiedzialnej, a zarazem odczuwalnie mniej dotkliwej.

Na całym obszarze dawnej komunistycznej domeny mamy w tych czasach dwa typy krajów: kraje, w których spada produkcja, dochód narodowy i stopa życiowa oraz rośnie bezrobocie, bo nie następują zmiany w kierunku gospodarki

rynkowej oraz kraje, w których występują te same dotkliwe dla ludności zjawiska na skutek tego, że rozpoczęły rynkową przebudowę gospodarki. Trzeciego rodzaju krajów, gdzie byłoby zatrudnienie pełne, sklepy pełne, a inflacja mała i stopa życiowa nie spadałaby, w tym regionie i w tych czasach nie ma. Inaczej mówiąc, jednych boli, bo gospodarczy wrzód socjalizmu realnego nie został wycięty, a innych boli, bo właśnie go wycięto. W jednym wypadku jest to ból pogłębiającej się choroby, ból rozkładu, a w drugim wypadku jest to ból pooperacyjny, ból rekonwalescencji. Różnią się te kraje jednym – w tych przed operacją pogłębia się chaos pieniężny i rynkowy, pustoszeją sklepy i coraz szybciej rosną ceny, w tych po operacji sklepy są pełne, a inflacja, choć na ogół wysoka, powoli spada. Niestety, spadek stopy życiowej i bezrobocie są tak samo dotkliwe, gdy wynikają z choroby, jak i wtedy, gdy wynikają z rekonwalescencji. I w Polsce w 1990 roku ta dolegliwość dała o sobie mocno znać. Stopa życiowa o trzydzieści procent nie spadła, ale o kilkanaście na pewno. Otóż tak poważny cios, połączony na dodatek z szokiem nowej rzeczywistości ekonomicznej, musiał zagrać na korzyść przeciwników politycznych szefa rządu, który tego rodzaju politykę gospodarczą prowadził. Wątpię, by jakikolwiek polityk w takich okolicznościach wyszedł zwycięsko, walcząc z pięcioma demagogami złączonymi jednym: to co zrobiono, zrobiono źle i właśnie dlatego cierpicie, jak mnie wybierzecie, to wszystko będzie inaczej, wszystko będzie lepiej. A potem robiono to samo, trudno byłoby powiedzieć, że lepiej. I w rok po ucichnięciu ostatnich strzałów „wojny na górze” prezydent Wałęsa, rozstając się na głośnym wtedy spotkaniu w Belwederze z tymi, którzy tworzyli jego sztab wojenny, wołał w obecności Mazowieckiego: „Mieliście

przyspieszać, dekomunizować, zmieniać i co zrobiliście? To po co ja obalałem pana Tadeusza?”.

- Jak odbyło się przekazanie urzędu pana następcy – Januszowi Lewandowskiemu?

- Trwało krótko, odbyło się z pełną kulturą z jego i z mojej strony. Wystąpiliśmy nawet razem na konferencji prasowej, na której przedstawiłem Lewandowskiego jako mojego następcę i powiedziałem parę miłych słów o jego zasługach we wprowadzaniu idei prywatyzacji do świadomości publicznej, a skończyłem tym, że uważam go za osobę właściwą do objęcia tego stanowiska. Osobiście go nie znałem, choć będąc jeszcze we Francji, sporo o nim dobrego słyszałem. Lewandowski dziękował mi później za – jak powiedział – przekazanie mu steru „z klasą”. Mówię to, bo przecież my – odchodzący i oni – przychodzący to były dwie strony po dopiero co stoczonej walce, a więc przeciwnicy. W niektórych resortach przejmowanie władzy przebiegało mniej elegancko i to nie z naszej winy. W zwycięskim obozie było sporo charakterów brutalnych, a nawet z cechami prostactwa. Nie chcę podawać przykładów, ale je znam. Bardzo więc byłem zadowolony, że między mną a Lewandowskim odbyło się to kulturalnie, choć był zgrzyt nie przez niego wszakże zawiniony.

Jeszcze zanim powołano rząd Bieleckiego, zjawili się w sekretariacie kilku młodych ludzi i jeden z nich zapytał arogancko sekretarkę, kiedy będzie zwolniony gabinet ministra, a potem zażądał, żeby natychmiast zorganizować im miejsce pracy, bo zaczynają wcześniej urzędowanie dla zapoznania się z ministerstwem. Dyrygował nawet, jak mają mu zaparzyć kawę. Sekretarki nie przyzwyczajone do

takiego stylu, przybiegły do mnie, spłoszone, po pomoc. Zadysponowałem więc, by tych młodzieńców jeśli się pojawią, przysłano do mnie, a ja ich po prostu wyrzucę z budynku, bo jak długo nowy szef nie jest zatwierdzony przez Sejm, ja jestem gospodarzem ministerstwa. Nie przysłano ich, dyrektor gabinetu Małgosia Zajączkowska uspokoiła przybyszów swoim sposobem. Dostali kąpiel w sali posiedzeń i standardową kawę. A gdy chodzi o Lewandowskiego, to odbyliśmy dłuższą rozmowę, w czasie której poinformowałem go, jakie sprawy są najpilniejsze, jakie się toczą, jak wygląda struktura ministerstwa. Lewandowski pytał o ludzi, o jakieś moje sugestie dla niego i tak dalej.

Kilka dni wcześniej przesegregowałem papiery, a w dniu kiedy Sejm zatwierdził rząd, opróżniłem biurko z osobistych rzeczy, obszedłem pokoje, by pożegnać się z pracownikami i opuściłem „butik”. Odwiózł mnie po raz ostatni służbową lancją służbowy kierowca.

- Czy przeżywa się wstrząs, gdy będąc figurą nagle przestaje się nią być?

- Myślę, że każdy przeżywa wstrząs, choć pewnie różnie. Ja go przeżyłem. To było tak jakby rozpędzony ekspres bardzo gwałtownie zahamował. Z niezmiernie intensywnego rytmu pracy, z życia morderczego, wykańczającego, ale takiego, które rozsadza dzień, kipi z tego dwudziestoczworgodzinnego kufla, wdziera się ze wszystkich stron, że jedynym pragnieniem jest uciec, odpocząć, nie myśleć, albo myśleć o jednej tylko sprawie, a nie o kilkunastu naraz, z takiego zgiełku ląduje się nagle w pustce i ciszy. Pierwszych parę dni to fantastyczna ulga, jest to, o czym się marzyło: żadnych spraw na głowie, żadnych spotkań, pism, posiedzeń, decyzji, telefonów, odpowiedzi, których trzeba natychmiast udzielić, nikogo nie trzeba

godzić, strofować, słowem – worek spadł z pleców, czuje się lekkość. Ale to pozór, tak jak odczucie faceta, któremu winda urwała się na dziesiątym piętrze – najpierw parę sekund słodkiej nieważkości, a potem...bum! Potem przychodzi kryzys, bo nie prowadzi się już tego agresywnego życia, a poziom adrenaliny od miesięcy jest przystosowany do rządowego rytmu. Myślę nawet, że ten kryzys może mieć podłoże biologiczne, bo nie ma „zatrudnienia” dla tej ilości adrenaliny i ona musi opaść, a póki nie opadnie, jest dół psychiczny, nie wiadomo co dalej, ma się poczucie degradacji, nawet czuje się oskubanie z tych w końcu nie tak wspaniałych atrybutów i przywilejów władzy ministerialnej. I to trwa różnie u różnych osób, a zależy na przykład od tego, czy wcześniej miało się jakieś własne nogi, czy ministrowanie stało się jedynym wyznacznikiem pozycji. Tkwiłem w dole może ze dwa tygodnie, więc raczej krótko. Wziąłem się za pisanie, byłem zgłodniały pióra i w ogóle jeżeli jakakolwiek praca sprawiała mi prawdziwą przyjemność, to było właśnie pisanie. W lutym napisałem kilka artykułów do „Gazety Wyborczej”, a równocześnie tworzyliśmy Unię Demokratyczną. To była nowa, nieznana odsłona po iluś tam poprzednich. Byłem już w pezetpeerze, w więzieniu, w opozycji nielegalnej, w legalnym i niezależnym związku zawodowym, na emigracji, w rządzie i oto po raz pierwszy w życiu przechodziłem do opozycji legalnej.

- Nie czuł się więc Pan przegranym?

- Kilka razy czułem się przegranym, miałem wrażenie jakby mi się życie skończyło: pierwszy raz w roku 1958, gdy mnie wyrzucili z Politechniki Poznańskiej, uznawszy, że nie nadaję się na inżyniera; drugi raz w roku 1966, gdy po wyrzuceniu z PZPR wyrzucono mnie z asystentury na Uniwersytecie

Warszawskim i zesłano na reedukację do zakładów Mechanicznych „Ursus”. Może jeszcze był taki moment na emigracji, ale po odejściu z „piramidy Cheopsa” w Alejach Ujazdowskich (nie wiem, dlaczego ciemne wnętrze tego budynku tak mi się kojarzyło) przegranym się nie czułem. Skończyła się rządowa przygoda, żal pożegnania, a rozpoczęła się nowa przygoda. Polska w tym niezwykłym czasie największego przewrotu drugiej połowy stulecia jest przecież nie tylko miejscem udręka, ale również miejscem nowych wyzwań. Cokolwiek będzie się w kraju działo, nie sędzę, bym mógł się poczuć przegranym tak długo, jak długo potrafimy hodować i rozwijać ten wąty ciągle kwiat wolności. Dlatego jedną z najstraszniejszych wypowiedzi, jaką zdarzyło mi się słyszeć w ostatnim czasie, było kilka zdań powiedzianych do kamery telewizyjnej przez wdowę po generale Andersie. Przybywszy do kraju, tak oto mówiła nam, którzy tu przeżyliśmy pół wieku zniewolenia: „Wam demokracji nie potrzeba, wam potrzeba silnej ręki, was trzeba mocno ująć i poprowadzić”. Dodała, że powiedziała to prezydentowi i że prezydent się z tym zgodził, więc jeżeli to by się stało, to wówczas czułbym się przegranym i myślę, że wszyscy moglibyśmy czuć się przegranymi. Wyglądałoby bowiem wtedy, że naszą narodową specjalnością jest targanie kajdan i abyśmy mogli się nią popisywać, musi nam je ktoś nałożyć, a jeśli akurat w okolicy nikt się do tego nie zabiera to nakładamy je sobie sami.

(Pisane w roku 1991 i 1992)